



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50, rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Biuszczu“ po kop. 15 za wiersz pełitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

SLÓWKO

O PANNACH I DO PANIEN.

(Kwestyonaryusz „Biuszczu“).



Najważniejszym warunkiem w rozwiązaniu każdej spornej sprawy jest dokładne jej zbadanie uprzednio; trzeba ją wpieryw poznać dobrze, trzeba się porozumieć, trzeba zebrać pewną ilość danych, aby dojść następnie do logicznego wniosku.

Po omacku niepodobna wyjść z Labiryntu, bez lampy i bez nitki Aryadny.

Bywają kwestye, jak Labirynt, po którym się błądzi lata całe i wraca ciągle do tego samego miejsca; jedną z takich jest także kwestya kobieca, zwłaszcza u nas.

Mówi się o niej dużo, pisze się nie mało, zużywa moc słów i frazesów, ale faktycznego materiału do jej rozwiązania, a choćby gruntownej tylko oceny, posiada się bardzo niewiele.

Czego współczesna kobieta polska pragnie, do czego dąży, co jest jej ideałem i celem w życiu, tego dokładnie, na pewno, z jej własnych ust nie wiemy.

Tu i ówdzie, jakaś niewiasta śmielszej natury zabierze głos i na własną odpowiedzialność przemawia niby w imieniu większości, posługując się często komunalami, powtarzając zdania zasłyszane lub wyczytane gdzie in-

dziej, powołując się na przykłady i fakta za granicą, wśród społeczeństw bardziej oświeconych, lepiej zorganizowanych, rozwiniętych wyższą kulturą.

To jednak niczego udowodnić, ani nikogo do głębi przekonać nie może.

O usposobieniu, dążeniu, potrzebach polskiej kobiety, o jej duchowych, etycznych, społecznych aspiracyach i poglądach możnaby dopiero wtedy wnioskować należycie, gdybyśmy je zbadali z dokumentami w rękę, zebranymi na naszym własnym gruncie, odnośnie do naszych własnych stosunków, odpowiednio do poziomu umysłowego większości naszych kobiet średnio-intelligentnych, do roli, jaką kobieta polska odgrywa w rodzinie, towarzystwie i społeczeństwie.

Takiego materiału, niestety, nie posiadamy i nie postaraliśmy się dotąd o jego zgromadzenie; rozumowania nasze i dyskusye obracały się przeważnie w dziedzinie teoryi, która w zestawieniu najczęściej z praktyką i faktami życiowymi wykazywała rażącą sprzeczność.

Nie możemy powiedzieć, abyśmy dzisiaj naszą kobietę, kobietę polską, znali dokładnie i wiedzieli, czego chce, co myśli, co czuje rzeczywiście i jaki udział wzięłyby już mogła w ogólnoeuropejskim ruchu kobiecym; czy jest do niego odpowiednio przygotowaną, czy mogłaby mu dotrzymać kroku i zdobyć w nim tyle spodziewanych korzyści, aby nimi wynagrodziła sobie straty i ustępstwa, wynikłe ze zmiany obecnego jej położenia?...

Otóż na tym punkcie decydującym potrzebujemy przede wszystkim większego wyjaśnienia, aby uniknąć zgubnych pomyłek i znaleźć wytyczną dla kierunku, w którym na razie naszą sprawę kobiecą najlepiej możnaby było poprowadzić.

Przyszłość należy do młodego pokolenia; ono będzie panem dnia jutrzejszego i rozpocznie nową epokę, przyjąwszy po nas puściźną z dobrodziejstwem inwentarza.

Nie poprzestanie na tem, co mu pozostawimy, — to pewna; wiele dorobi, ale wiele może i zmarnuje nieopatrznie. Przez obowiązek i troskliwość o szczęście i dobro naszych następców, powinniśmy uczynić to, co czynią dobrzy ojcowie i dobre matki w testamentach: zbadawszy charakter, usposobienie i skłonności swych ukochanych dzieci, zamieścić klauzulę z przestroga i zastrzeżeniem, pod mocą błogosławieństwa rodzicielskiego, aby pewnych warunków dotrzymały koniecznie i chroniły przekazaną ojcowizną od niebezpiecznych zmian i eksperymentów...

Są rzeczy, zasady, warunki, których naruszać nie wolno nawet w szczegółach, bez szkody dla całości, a majątki społeczne, mienia narodowe bywają, jak majoraty odwieczne, zastrzeżone pewnymi prawami i obowiązkami.

Współdziedziczką, gospodynią, matką i szarfarką tej nowej epoki będzie kobieta, powołana niewątpliwie do jeszcze trudniejszych i jeszcze odpowiedzialniejszych zadań, niżeli jej dzień dzisiejszy dyktuje.

Nie godziłobyż się zatem zbadać dzisiaj, jakie kwalifikacje i jakie usposobienie wniesie ona na początek do spełnienia swych obowiązków w przyszłości, czego można się po niej spodziewać, w czym wspierać, a od czego ustrzedz ją przed czasem należy?...

W przekonaniu, że taka świadomość mogłaby przynieść sprawie społecznej w ogóle, a kobiecej w szczególności u nas pewien pożytek, postanowiliśmy wystąpić z inicjatywą wybadania dzisiejszej kobiety polskiej; dajemy jej głos, — niech przemówi, niech szczerze i otwarcie wypowiedzi się ze swych dążeń i poglądów, swoich potrzeb i zamiarów, ze swoich pragnień i nadziei!...

Otwieramy jej łamy najszerszego u nas organu, poświęconego sprawom kobiecym, i prosimy ją w jej własnym interesie, aby odpowiedzieć zechciała nie tylko sama, lecz i inne swe siostry, przyjaciółki, towarzyski skłoniła do dania odpowiedzi na szereg pytań, które pozwolimy sobie jej zadać w niniejszym artykule.

A na początek, z tym kwestyonaryuszem zwracamy się do młodego tylko pokolenia, do *samych panien*, bo one stanowią ten żywioł najświeższy i najwrażliwszy, który z atmosfery naszej epoki przejmując najłatwiej unoszące się w niej załączki nowych idei i pyłki dawnej tradycji, — ulega najsilniej wpływowi „ducha czasu“ i wytwarza w sobie bardzo ciekawy, tajemniczy, godny poznania światek pojęć, aspiracji, uczuć i rozumowań, z których najwięcej wniosków, ważnych dla przyszłości, wyciągnąć można.

Dzisiejsze stanowisko panny, bez względu na jej wiek i warunki towarzyskiej pozycji, nie jest ani tak wdzięczne, ani tak uroczne, ani tak wygodne, jak bywało za naszych prababek; przestało ono być wiosnianym, złotym snem na kwiatach, przestało być jednym z przywilejów kobiety, który niegdyś wystarczał jej do korzystania z wyjątkowych praw i chronił od wielu obowiązków życiowej walki. Paniństwo samo zostało pięknym i szlachetnym tytułem, szlachetną godnością kobiety, cenną, moralną jej ozdobą, — ale nie jest już więcej w społecznym znaczeniu tą nietykalną tarczą, po za którą można wieść żywot „śpiącej królowej“ i czekać tylko zaklęcia pięknego rycerza z bajki, z magicznym słowem na ustach: „Kocham cię!...“

Życie i postęp uprzedziły rycerza, zbudziły królową z poetycznego snu i powołały ją do bardziej prozaicznej, ale i pożyteczniejszej roli na jawie; kazały jej być czemś więcej jeszcze, nie tylko panną, — zażądały, aby się poczuła człowiekiem, jednostką rodzinną i społeczną, pracownicą, nie gracyalistką ludzkości, istotą czynną, nie bierną, pomocą nie ciężarem dla swego otoczenia, liczbą — nie pięknym zerem.

Wytłómaczono jej, że świat nie potrzebuje darmozjadów i kwitnących pasożytów; że czuć, myśleć, pracować nie nauczy jej jakimś cudem, od jednego razu, małżeństwo w dniu zaślubin, ale że do obowiązków swoich musi przyjść przygotowaną i wyrobioną, bo czasy „panien respektowych“ w tym wielkim domu Bożym, który się zowie światem — minęły i że panna o tyle budzi respekt, o ile jest i kobietą światłą, zdolną, pracowitą i pożyteczną.

Nie motylem, lecz pszczołką, nie kwiatem, lecz sadzonką owocowego drzewa, nie wcieloną poezją, lecz rzeczywistością, nie jakąś abstrakcją, lecz wyraźnym osobnikiem, — czemś zdecydowanym, nie poczwarką osnutą w tajemnicze obsłonki, lecz stworzeniem określonym wyraźnie ma być dzisiejsza kobieta w panieńskim stanie.

To jej powiedział świat, to jej powiada życie, to jej powtarza teoria i praktyka.

A co powiadają one same?... co mówią nasze panny i co myślą o tem w głębi duszy, w samotnych marzeniach i zadumach nad swoim losem?

Niechże zechcą odpowiedzieć same tak, jak im serce i rozum dyktuje, po prostu i jasno, byle szczerze i z własnego przekonania: jak pojmują rolę swoją i zadanie, — w jakim kierunku pragnęłyby się rozwijać, — czy i jakie różnice w poglądach zasadniczych upatrują ze swemi matkami, — w czym widzą i uznają prawdziwy postęp dla siebie i jakie środki obrałyby do osiągnięcia swoich celów i ideałów, gdyby im pozostawiono swobodę działania i decydowania o własnej przyszłości, — jakim kierunkom w dzisiejszej literaturze i sztuce hołdują najbardziej, — co myślą o małżeństwie i czego się po niem spodziewają, — jak pojmują miłość i stosunek swój do męzkiego otoczenia?...

Stawiamy tu szereg pytań, które moglibyśmy przedłużyć jeszcze w dwójnasób dla wybadania ideałów i dążeń naszych panien, ale liczymy na to, że każda z myślących czytelniczek, które raczą wziąć udział w naszym kwestyonaryuszu i dostarczyć nam żądanych odpowiedzi, sama je uzupełni po głębszym zastanowieniu i co uzna za stosowne, to doda od siebie w liście, nie koniecznie podpisanym z imienia i nazwiska.

Listy te po przejrzaniu wydrukujemy w całości, zastrzegając sobie syntezę ich na końcu; prosimy tylko o uwzględnienie sprawy, którą uważamy za ważną i pożyteczną w interesie ogółu i samych kobiet, a będziemy się czuli szczęśliwi, jeżeli nasze usiłowania choć w części przyczynią się do rozjaśnienia „polskiej kwestyi kobiecej“ w młodszym pokoleniu.

A zatem — panny mają głos!...

Redakcja „Bluszczu.“



NA WERENDZIE.

(Poga wędka).



Chmury osłoniły niebo, wiatr powiał, zaszumił gwałtowny deszcz — błysnęło... i grom wstrząsnął powietrzem.

Grom pierwszy, pierwsza błyskawica... Czy pojmujecie urok tego zjawiska?... Przeszedł herold królewski w bogatym chmur pióropuszu, w zbroi błyskawicznej i piorunowym głosem zawołał:

— Wiosna!...

Zwalała się zima, miejsce jej musi zająć bogini zieleni i kwiatów; może jeszcze figle różne wyprawiać uchodząca monarchini tej

aryergarda, może jeszcze w twarz nam sypnąć jak kartaczami, zmarzłemi kulkami śniegu, ale to już będzie wysiłek ostatni pokonanej potęgi, rozpaczny jej odwrót na linii całej, niemoc i przegrana zupełna.

Po tym szumie wichru, deszczu gwałtownym, piorunie i błyskawicy, zbliżyłem się do poczciwego towarzysza wieczorów zimowych, który mnie ciepłem swem ogrzewał, błyskami ognia do marzeń ognistych budził, z żarzących się węgli budował jakieś zamczy-ska zaczarowane, wiał tęsknotą rozsypujących się popiołów, i, zdawało się, że odgadywał myśli moje, bo przemawiał dawnemi, zamierzchłemi wspomnieniami jakimiś. Żegnaj, przyjacielu stary, żegnaj na długo!...

Otworzyłem drzwi na werendę...

Błękit, słońce, wróbleta świegocą aż w uszach dzwoni, lecz powietrze technie chłodem jeszcze. Nie chcę jednak w niezgodzie być z panną wiosną, ani za ten powiew chłodnawy uragać jej nie myślę. Zagłębiam się w fotel i biorę się do przepatrzenia poczty. Gazeta — list — gazeta — list — list — list... parę poematów pióra niewieściego z prośbą o przeczytanie i ocenienie; jeden dramat pięcioaktowy, aleksandrykami pisany z prośbą... o przeczytanie i ocenienie; trzytomowa powieść (osmdziesiąt arkuszy bitego pisma)... z prośbą o przeczytanie, ocenienie i napisanie polecającej przedmowy, bo autorka ma zamiar po długich studiach i pracy mozolnej, szerokiemu światu dać się poznać. Znalazłem jeszcze zeszycik maleńki prób poetyckich, tylko co z jajka wyklutych autorów, parę nowelek pensyonarek jasnowłosych i bardzo miłą jednoaktówkę, ale to nic w porównaniu z owym *dramatem historycznym i wielką powieścią obyczajową*, w której, jak to autorka w liście załączonym, krótkim wprowadzie, „ażeby panu czasu drogiego nie zabierać“ — powiada: że potrąca rzecz zupełnie *nową*, bo oświetla emancypację kobiet ze strony — *trzeciej* (sic!). To *oświetlenie trzeciej strony*, dało mi zupełne prawo do powtórnego obwiązania sznurkiem *wielkiej owej powieści obyczajowej* — i położenia jej na półce, przeznaczonej — *helas!* do podobnych — nieunikatów. Dramat i inne *drobiazgi* znalazły się tamże. Pozostały jeszcze listy.

Pomimo wielu zalet, jakie mi przyznają i jakie przyznaję sam sobie — mam jedną brzydka wadę, z której nie sposób mi się poprawić. Odbieram stopy listów, odczytuję sumiennie, ale — odpowiadać na nie średniowiecznej *próbie wody* się równa. Dlatego wolę być niegrzecznym, niż męczennikiem, lecz cóż poradzić na to wrodzone przywiązanie człowieka do życia!...

Jednak list pewien nie może bez odpowiedzi pozostać. Nakreśliła go kobieta, podpisała się dwoma literami: S. P., adresu swojego nie podała, lecz prosiła o danie odpowiedzi w „Bluszczu.“

Głośna sprawa „Legend“ p. Niemoje skiego, nakazana konfiskata ich we Lwowie, zabrała autorkę listu. „Legend“ nie czytała, lecz głos powszechny mówił o zawartych w nich błuźnierstwach. Wiedziała, że wielu literatów wystąpiło z protestem przeciwko orzeczeniu sądów lwowskich; że są zdania za i przeciw, ale ku jakiej stronie się przechylić, nie wie sama, pyta więc mnie o zdanie, które dla niej

miarodajnym będzie—(dziękuję za zaufanie)—przyczem dodaje: że jest osobą religijną i bezbożności przebaczyć nie może.

Cóż mam na to Pani odpowiedzieć?... Wiemy wprawdzie, że Chrystus był uosobieniem miłosierdzia i przebaczenia, lecz wiemy także, że przekupniów ze świątyni Bożej powrozami wypędzał; wiemy wprawdzie o Jego pełnych mądrości słowach: Nie sądzcie, abyście sądzeni nie byli; lecz wiemy także, że łagodność sądów naszych i obawa osądzenia — w wielu razach karygodną wywołuje pobłażliwość. Obawa ta jest może przyczyną chwiejności naszych zdań i przekonań, rozbicia się nie na obozy, lecz rozsypania się na nie nieznaczące niedziałki. Wolę słowa Pani, gdy mówi: „Bezbożności przebaczyć nie mogę,“ niż: „toleruję,“ — które w wielu wypadkach jest abdykacją rozumu i charakteru. Wolę błędne nieraz przekonanie, lecz bronione z zapałem i wiarą w ich dobroć, niż *najlepsze*, do których wypowiedzenia należytej śmiałości nie mamy. Tamte znamionują siłę i bądź co bądź zapanować potrafią, te uledez muszą, i choćby były czystego złota bryłą, nie przetopią się na monetę szlachetną, mającą wartość obiegową. „Słowa wasze powinny być: tak—tak, nie—nie!“ Co za mądrość w tem zdaniu krótkim, co za potęga z nich bijąca, miazdząca siła jakaś, z którą nie sposób stanąć do walki...

Nie przebacza więc, Pani, bezbożności — nie bierz tylko cienia za istotę. „Tak—nie“ niech będą wyrazem twoich przekonań, lecz zanim je wypowiesz, uzyskaj wpieryw zgodę rozumu, serca i — rozważgi.

Odbiegłem trochę od głównego przedmiotu, lecz wspomniana przez panią „niemożność przebaczenia“ nie bez powodu wspomniana w liście została. Zdawało mi się, że i w tym względzie Pani zdania mojego chciała zasięgnąć. Jeżeli tak — wypowiedziałem otwarcie, jeżeli nie — przepraszam za zbytek domysłności.

Przystępuję teraz do sprawy „Legend,“ a właściwie sądowej ich konfiskaty. Nie narzucam tu swoich przekonań, wypowiadam je tylko szczerze.

Zacznę od słów, które może Panią zdziwią: Nie czytałem „Legend“ Niemojewskiego, a nie czytałem wprost dlatego, że ich niema u nas w obiegu księgarskim. Jakkolwiek nie można mówić o tem, czego się nie zna, lecz wiadomym jest fakt konfiskaty, jako też jej powody. Przypuśćmy więc rzecz najgorszą — oto autor dopuścił się bluźnierstwa. Jeżeli tak, czy słusznym jest oburzenie społeczeństwa, a przynajmniej znacznego jego odłamu?

Zostawmy na chwilę *bóztwo* — przypuśćmy, że pisarz błotem bryztał na ukochaną jakąś postać narodową. Pytanie: czy mielibyśmy prawo oburzyć się?... Sądzę, że dwóch zdań nie będzie, każdy *tak* powie, bo gdyby w żylach naszych krew nie zawrzała, piersią gniew nie poruszył — zastanówmy się tylko, co byśmy byli wari? Po plunięciu na nasze ołtarze, każdy miałby prawo później nam w oczy pluć. „Gdybyś miał wszystko, a miłości nie miał — nie wart nic jesteś.“

Jeżeli drogie nam są postaci, które do narodowej przyczyniły się sławy, coż dopiero mówić, jeżeli obraza dotyka Bóztwa, zdiera aureolę świętości z czoła Chrystusa, kala nie-

splamioną szatę Boga-Rodzicy, przed którą na Jasnej-Górze, czy w zagłębieniu Ostrobramskiem tłumy padają na twarz, korzą się, wierzą i odchodzą pocieszone. Oburzam się, gdy w przygodnej powiatce odzieras z zasług i bohaterstwa ukochaną postać dziejową; stokroć więcej oburzam się, gdy w legendowym obrazku dotykasz świętości nad świętości, przedmiot czci mojej i milionów całych. To zupełnie zrozumiałe i dziwiłbym się, gdyby kto występował przeciw temu oburzeniu wierzących. Krytyka tylko naukowa, rozum badaczy, stawiając na miejscu wiary — wiedzę, ma prawo pod skalpel swój pociągnąć dane historyczne fakty, w celu sprawdzenia i udowodnienia ich rzeczywistości. Jenó umysł badacza nie ma przed sobą wrót zamkniętych. *Krytyka historyczna*, oparta na *faktach niezbitych*, może niejedną postać dziejową stracić z zajmowanego dotąd piedestału. W omawianym zaś przez nas przedmiocie rzecz ma się z *wiarą* tłumów, której dotąd nie zabiły rozumy mędrców, przed którą zresztą mędracy sami niejednokrotnie pochylali swe głowy. W tem leży błąd którego dopuścił się autor „Legend.“

Bardzo interesującą wiadomość podają nam korespondencye z Poznania. Oto w miasteczku Jutrosinie, kosztem księcia Zdzisława Czartoryskiego i jego braci, powstaje nowa świątynia Pańska. Nieby to nadzwyczajnego nie było, gdyby nie sposób, w jaki to dzieło dokonywa się. Rzecz tak jest godna uwagi, że nie możemy się powstrzymać, ażeby nie zapoznać z nią czytelników naszych. Dobry przykład niech jak najliczniejszych naśladowców znajduje, a tych przykładów nam bardzo potrzeba.

Kamień węgielny kościoła jutrosińskiego założony został w r. 1900-ym; dziś już ściany czekają przykrycia, a wieża pod dachem stoi. Budowę prowadzi budowniczy Pośpieszalski ze Środy; z zadania wywiązuje się sumiennie i ze znajomością rzeczy. Kościół cały jest w czystym stylu romańskim o liniach szlachetnych, ale zadaniem fundatora jest *zgrupować w kościele jutrosińskim cały Parnas artystyczny polski*. W tym więc celu, Wyspiański maluje witraże; prezbiterium, które zdobią dwa piętra kolumn o bogatych kapitelach, oddane zostało profesorowi Akademii krakowskiej, Wyczółkowskiemu, który według motywów, zaczerpniętych z kościoła Św. Marka w Wenecyi, ma pola między kolumnami wypełnić freskami, przedstawiającymi na złotem tle dwunastu Apostołów. W kruchcie kościelnej wykona profesor Wyczółkowski ogromnych rozmiarów fresk, przedstawiający podobiznę wizerunku Chrystusa na krzyżu, według rzeźbionego krucyfiksu królowej Jadwigi na Wawelu. Dalej, Wiewiórski, jako pejzażysta, objął wszelkie freski na ścianach bocznych. Przedstawione tu ma być męczeństwo Św. Wojciecha, zamordowanego przez Prusaków, oraz legenda o Św. Izydorz, oraczu. W dalszym ciągu zapowiedziane są prace Fałata, Stanisławskiego, Laszczki i Axentowicza. Zewnętrzne ornamentacye odłożono na później, ale i one będą dziełem artystów naszych. Jedyna to więc w kraju będzie świątynia, gdzie *wszystko* wykonane zostanie własnymi siłami. A czas już tak wielki na nie liczyć, czas już

wielki zapomnieć o tylko zagranicznych doskonałościach. I dlatego przyklaskujemy z zapałem myśli ks. Czartoryskiego; szlachetna jest, piękna i tak bardzo pożyteczna. I słusznie powiada „Kuryer Warszawski,“ z którego tę wiadomość czerpiemy: Zastosowanie tej zasady, byłoby najlepszym chyba bodźcem dla sztuki naszej, najprostszą drogą do wytworzenia stylu swojskiego.

Zachęty u nas potrzeba ciąglej i we wszystkim, zachęty i energii wybitniejszych jednostek, ażeby ciężki wóz obojętnością czy lenistwem ogółu naładowany, mógł choć truchtem ruszyć, byleby naprzód, byleby dalej. Do galopady jesteśmy wprawdzie zdolni, o tysiąc kroków z miejsca skoczyć potrafimy, lecz szybko ochwat nas porywa, paraliż jakiś duchowy, bezsilność i senność. Zapisaly już dzieje skutki tej naszej choroby i — niestety! nie zbraknie materiału w przyszłości historykowi. Nie dzisiaj to urodzona piosnka, to czekanie pieczonych gołąbków, wyręczanie się obcymi, małpowanie innych, byleby jak najmniej z samego siebie wydobyć. Znany jest dowcip Stańczyka, a właściwie mądre jego określenie charakteru Polaków: „Polak, jak tablica z wosku, na niej Niemiec, Francuz, Włoch, Hiszpan a Czech najwięcej malują, co im się żywnie podoba, a nawet swoje języki w gębę im kładą.“ To też odmalowali, co im się żywnie podobało.

Przypominamy sobie jakie zajęcie ongi budziły w nas Kolonie letnie. Dr. Markiewicz umiał wzbudzić nasz zapał, wartkim strumieniem potoczyła się ofiarność, zaczęto zapisywać się na członków instytucyi, na posiedzeniach nie brakowało nikogo. Lecz czy możebne byłoby wytrwać w tem aż do końca?

Przed paru tygodniami odbyło się zgromadzenie członków instytucyi, ale było tak nieliczne, tak rozleniwiałe, że nawet żadnej nie przeprowadziło dyskusyi. Ta obojętność jest wskazówką przygasania znanego ognia naszego, upadającym zainteresowaniem się tak ważną sprawą, jaką jest zdrowie dzieci rodziców ubogich. Roku ubiegłego już mniej, niż zwykle, dziatwy używało świeżego powietrza; fundusze nie wystarczyły, ogół zdrzemnął się sobie. W słowach gorących dr. Markiewicz, jako prezes instytucyi, podniósł konieczność szerszego poparcia członków Towarzystwa; „brawo, brawo!“ — odpowiedziano, ale czy czas zmieni smutne cyfry sprawozdania na rok bieżący — przyszłość pokaże. Sprawozdanie obecne zaznacza; że liczba członków rzeczywistych nie tylko się nie powiększa, lecz się zmniejszyła nawet i wynosiła w r. 1901-ym — 278, i suma też ofiar niższą była. Ogólny dochód stanowił sumę rub. 37,395 kop. 69, rozchód zaś rub. 40,274 kop. 92, czyli, że deficyt wynosi rub. 2,883 kop. 23 i musiał być pokryty z remanentu lat poprzednich. Skutkiem tego Komitet musiał zaprowadzić oszczędności i proponuje w budżecie na rok bieżący rub. 39,992 kop. 52, licząc, że z ofiar osiągnie 17,000 rubli.

Przezierając sprawozdanie z czynności Towarzystwa doraźnej pomocy lekarskiej, rok 1901-y przedstawia się wcale dodatnio. Z protokołu komisyi rewizyjnej widzimy, że w r. 1901-ym było w dochodzie rub. 66,303 kop. 91, w wydatkach zaś rub. 50,524 kop. 41, czyli

w remanencie na rok bieżący pozostało rubli 15,981 kop. 50.

Na zakończenie pogawędki dzisiejszej muszę wspomnieć o pewnej książce, którą przejrzałem z niemałym zajęciem. Jest to studium krytyczno-porównawcze pióra Ignacego Matuzewskiego, noszące tytuł: „Słowacki i nowa sztuka (modernizm). Twórczość Słowackiego w świetle poglądów estetyki nowoczesnej.“

Wiadomem jest, że „siła fatalna“ autora „Króla-Ducha“ pozostała po nim i jeżeli jeszcze zjadaczy chleba w aniołów nie przerobiła. okazuje moc swoją i władztwo nad duszami rozciąga. Czem jest modernizm dzisiejszy w stosunku do Słowackiego, autor opowiada barwnym stylem i niejedną tłumaczy zagadkę. Pokup ogromny książki mówi o jej potrzebie; nazwisko autora mówi o jej wartości. Radzimy szczerze czytelnikom zaopatrzyć się w dzieło piękne i niezmiernie ciekawe, a nie pożałują niewielkiego wydatku poniesionego, ni straty dobrze przepędzonego czasu.

Kazimierz Gliński.



Julia Terpiłowska.



PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Dziewczynka odcięła się:

— Ja go pierwsza porzuciłam dla mego osła!

Powiedziawszy to, pokłusowała dalej, a Mewa, śmiejąc się, rzekła do nadchodzących Malwy i Zygmunta:

— Patrzcie państwo, jak to się tej małej ząbki wyrzynają!

— Nie dziw będzie, jeśli się jej nawet różki wyrzną pod takim wpływem... — mruknął Zygmunt.

— Jakiś ty teraz troskliwy o Nilę! — zawołała Mewa. — Doprawdy zacznę być o nią zazdrośną. Czy cię czasem nie kokietuje po kątkach? Nil! Nil!

Mała była już daleko, i nie odezwała się.

— Wybadam ją później wobec panny Karoliny — rzekła, śmiejąc się, — będę miała podwójną uciechę! Cóż ty na to, Zyguncie?

— Podziwiam przyszlą kierowniczkę rodziny.

Mewa parsknęła śmiechem.

— Co za pompatyczny tytuł!.. wyobraża mi się moja osoba z kluczami, w fartuchu i z dyscypliną.

— Kierownictwo nie posilkuje się dyscypliną, tylko sercem i rozumem.

— To ma znaczyć, że ja tych dwóch akcesoryów nie posiadam?

— Nie mówię tego. Intelligencji nikt ci nie zaprzeczy, a co do serca utrzymujesz nieraz, że go masz za dużo.

— To prawda! — zawołała, śmiejąc się, — mogłabym obdzielić cały regiment!

— Moja Mewo — rzekł spokojnie, — czy nie czujesz, że mi robisz przykrość?

— Mój Zyguncie, powiedz sobie na pocieszenie, że za narzeczonego maż kiedyś odda z procentem!

— Czy naprawdę spodziewasz się tego?

— Myślę, że może spróbuje; no — ale wtedy będzie batalia, a kto wygra — zobaczymy!

— Wesół przyszłość... Właśnie zapytywałam pannę Malwę, czy myśli, że będzie z nas szczęśliwa para, ale mi odpowiedziała, że nie może wyjawić swego zdania w twojej nieobecności.

— Więc oto jestem! Niechże nam pani wywróży przyszłość, panno Malwo!

Stała przed nią, zakładając w tył ręce z wyzywająco-figlarną minką, a Malwa rzekła seryo:

— Znajduję, że pani mogłaby dać szczęście i mieć je sama, w razie jeżeli figielki pani pochodzą z dziecinnej pustoty. Ale jeśli ich źródłem jest przeświadczenie, że życie — to szopka, a ludzie — to marynetki dla zabawy pani, — w takim razie...

— Co w takim razie? niech pani mówi śmiało!

— W takim razie żal mi każdego, kto odda swoje serce na igraszkę pani.

Patrzyła na brata, a Jur, aby rzecz w żart obrócić, rzekł z uśmiechem do Mewy:

— Malwa — jak Pytya, wydaje wyrok, który może być dwojako tłumaczonym.

— A nie wpada na myśl — dodała Mewa, — że może być jeszcze i trzecie tłumaczenie.

— Naprzykład jakie? — spytała Malwa.

— Że te, jak pani nazywa, figielki, pochodzą najczęściej z żalu, albo ze złości na to, że się jest zawsze i we wszystkim źle zrozumiana...

Powiedziała to poważnie i smutnie, a potem roześmiała się, i rzekła, kładąc rękę na ramieniu Zygmunta pieszczotliwym ruchem:

— No, teraz mój pocziwy Muś będzie miał na całą noc robotę! on tak lubi łamać sobie głowę nad odgadywaniem, kiedy to, co mówię, jest żartem, a kiedy prawdą. Ale gdzie to się papa ulotnił? Pora nam już wracać do domu.

Wielolecki znikł zaraz po swojej rozmowie z Malwą. Chciał jej okazać trochę urazy, myśląc, że ją tem skłoni do większej względności.

Ponieważ zaczynało się zmierzchać, Mewa zawołała młodego nauczyciela, i zapytała go z wielką powagą, czy zechce zastąpić jej ojca, i zaopiekować się nią w podróży z narzeczoną przez aleje parku ku pałacowi.

Pan Ignacy, płowowłosy, piegowaty student, miał w obecności Mewy wieczny kłopot z długością rąk swoich, i płał szkarłatem na każde jej słowo, zwrócone do niego.

— Więc będzie mi pan matkować, panie Ignacy? — pytała, mrużąc oczy z figlarnym uśmiechem.

— Zdaje mi się... jakkolwiek... właściwie... bardzo mi będzie przyjemnie! — bąkał zmieszany chłopak.

— Ale gdzie zaś przyjemnie! — zaprzeczyła, śmiejąc się. — Pan jeszcze nie wie, jakie to ze mną bywają kłopoty! Jak przypadnę gdzie w lesie, to panu trudniej będzie odszukać mnie, niż André'ego!

— Przepraszam panią... to jest bardzo proszę... i owszem... niech się pani nie żenuje.

— O, ja jestem bardzo skłonna do żenowania się! zwłaszcza wobec niesłychanej śmiałości pana!

Zanosila się od śmiechu, a student patrzył na nią z pod jasnych brwi, nie mogąc pojąć, co ją tak bawi, i oblewał się coraz gorętszym rumieńcem.

Malwa z Jurem wracali do domu pełną drózką, wśród rozszemranych w ciszy wieczornej kłosów. Przed nimi księżyc wzbijał się nad wysrebrzone łąny, za nimi wolno, równo sunęły ich dwa długie cienie, a myśl wybiegała na usta, chętna do wywnętrzania się w tem spokojnem odosobnieniu. Rozmawiali o Mewie.

— Za pospiesznieśmy ją sądzili — mówił Jur, — i za surowo potępiali na razie. Zdaje się, że to nie jest natura przewrotna, ani zepsuta, tylko poprostu bardzo ekspansywna, ujawniająca szczerze wszystkie swoje słabe strony przez jakąś przekorną pustotę. A przytem ona ma w sobie ogromny zapas bujnej, swobodnej wesołości, i dlatego tak się buntuje przeciw wszystkiemu, co się jej wydaje surowe, zimne lub smutne.

— Ona się buntuje przeciw wszystkiemu, co by mogło ograniczyć którą z jej egoistycznych zachcianek — odparła Malwa.

— Jest to egoizm nieświadomy, z którego ją świat uleczy. Ludzie mają mało pobłażliwości dla wad otwartych; komedia i poza ła-twiej opinię jednają.

— Czy jesteś pewny, że otwartość Mewy nie bywa poza? Ona jest o wiele bardziej skomplikowana, niż ci się zdaje, a jej dziecinna żywość, wesołość i pustota kombinują się z wytrawną i wprawną kokieteryą, która nawet własne wady umie wyzyskać, dla dodania sobie powabu i wywołania efektu. Nie znajdujesz tego?

— Nie wiem — odrzekł trochę niecierpliwie, — ostatecznie niewiele mię to obchodzi. Dosyć lubię jej towarzystwo, ale nie mi na tem nie zależy, aby była samą doskonałością.

Milczeli chwilę, potem Malwa odezwała się:

— Jurku!

— Co?

— Wiesz... ja się boję, aby ona ci nie zawróciła głowy...

— Cóż znowu! ładne masz wyobrażenie o mojej głowie.

— Ale bo jak się taka uweźmie...

— Ani myśli o tem.

— Właśnie, że myśli; czyż nie widzisz, że cię kokietuje?

— To jest jej sposób bycia; taka — wiesz — trochę poufała kamaraderya.

— Dziś była tak widocznie tobą zajęta...

— Właśnie, że za widocznie, aby można przypuszczać ukryte zamiary. Dlaczego zresztą mam ją posadzać o co innego, niż o sympatyę, którą mi otwarciem ofiarowała?

— Sympatya nie przeszkadza, bo przecież antypatycznych się nie bałamuci.

— Ale po coby miała chcieć mię zbałamucić? między nami absolutnie nie być nie może, — nawet salonowego flirtu, tak dalece wzajemne położenie nas rozdziela! Jesteśmy wzglę-

dem siebie antypodami; lada idyota, co się w Wiedniu ubiera, jest jej bliższym, niż ja...

Powiedział to z pewną goryczą, umilkł i zamyslił się chmurnie, a Małwa spojrzała na niego z niepokojem. Czyżby go bolała zmiana towarzyskiej pozycji ze względu na nią? byłoby to podwójne zło.

Ale on myślał nie o sobie, ani o niej, tylko o układzie stosunków ludzkich wogóle. Myślał, że świat jest jednak potwornie urządzony, skoro dwoje ludzi nie mogłoby zbliżyć się z sobą dlatego, że ona nosi długie rękawiczki, a on — długie buty. Każdy przyznaje, że miłość jest pierwszorzędną potęgą, treścią i szczęściem życia; nikt nie przeczy, że zewnętrzne udogodnienia, których dostać można za pieniądze, są mniej ważne, niż potrzeby serca; a jednocześnie wszyscy uważają za rzecz naturalną i niemal konieczną, że, gdy chodzi o wybór, to, co stanowi szczęście życia, idzie na stronę, to zaś, co należy do warunków życia podrzędnych i konwencyonalnych, stanowczo bierze górę. Jur nie kochał się wprawdzie w Mewie, ale irytowała go myśl, że gdyby się kochał, nie mógłby starać się o jej wzajemność dlatego, że on sam bezpośrednio dotyka się ziemi, a w jego schludnej, we-

sołej Zagrodzie niema kandelabrow i porcelany. Więc cóż znaczy osobista wartość człowieka, i czem jest ta wszechpotężna moc miłości?

Z tych pesymistycznych rozmyślań, jak gryzące wyziewy, wypełzły bure kłęby złego humoru i osnuły mózg Jura. Zły był na siostrę, że poruszyła kwestyę, bądź co bądź drażliwą, zły na Mewę, że mu narzuciła swoją przyjaźń, bądź co bądź niebezpieczną, zły na siebie samego, że go jeszcze mogą obchodzić kwestyę uczucia i psychologia kobiety. I to kobiety może ani sympatycznej, ani interesującej, jak utrzymywał przed chwilą, tylko po prostu próżnej, zalotnej i płytkiej, która ostatecznie nie ma czem zaciekać inteligentnego mężczyzny.

Ściał prętem wysmukły oset o purpurowym kwiecie z promienistemi kolcami, zawzięcie przydeptał go nogą i szedł spiesźnie, nie odzywając się więcej.

W milczeniu doszli do ementarza, i na kręcie okalającej go dróżki spotkali Klarę.

— Miałam dobre przecucie — rzekła Klara. — Myślałam właśnie, że musieliście być dziś w Dziecinie, i że może was spotkam, idąc

w tę stronę. Co za śliczny wieczór! Posiedźmy tu trochę, dobrze?

Weszli na porosły darnią, okop ementarny, i usiedli na krótkiej trawie, przetykanej rozchodnikiem i wrzosem.

Wielka cisza, leżąca nad mogiłami, ogarnęła ich swoją falą. Milczeli długą chwilę, nakoniec Małwa odezwała się:

— Wyglądamy, jak posągi na grobach. Mów co, Klaro, bo skamieniejesz!

— To dobrze — rzekł Jur, — będzie ładna statua anioła pokoju.

— Niegrzeczny jesteś; milej nam mieć ją żywą, niż skamieniałą. Opowiedz, Klarus, co dziś robiłaś?

Klara zaśmiała się swoim cichym śmiechem.

— Zajmujące byłoby opowiadanie! — rzekła. — Już lepsze milczenie statuy.

— Nie chcesz mówić o swoich zajęciach, to powiedz, co dziś grałaś, co czytałaś?

— Właśnie przed wieczorem czytałam stryjowi — po Tomaszu z Akwinu — bardzo bezbożną broszurę.

— Kanonik pozwala pani czytać bezbożności? — spytał Jur.

(Ciąg dalszy nastąpi).



DEOTYMA.

NAD MODRYM DUNAJEM.

(Z POEMATU „SOBIESKI POD WIEDNIEM“).

(Ciąg dalszy).

Znów szedł, posępny. Przejście mu wypadło
Przez Nowy Rynek. Niepróżno był «nowy;»
Miał same pańskie, wspaniałe budowy.
Dawniej téż wodne posiadał zwierciadło,
Z kamienną czarą i fontanną krętą.
Woda, rzecz cenna, zatém ją zamknięto.
Przy téj sadzawce stała dziś gromada;
Milcząca, widać, że na kogós czeka.
Graf tylko spojrzął, poznał ją zdaleka.
— «Znów deputacja.... i zdrada....»

Byli tam Rajcy ze swemi małżonki —
Bogatsi kupcy, (Radzie Miejskiej wierni) —
I wielka dama w atłasowej czerni;
Srebrne jéj loczki lśniły z pod koronki.
U przodu, niby na obronę Miastu,
Był huf ze ślicznych panien kilkunastu.
— Zaszli mu drogę. Stary Ławnik Otto,
Przemówił: — «Grafie! Widzisz nas w rozpacz.
«Kapitulujmy! Dziś Turek z ochotą
«Wejdzie w umowy. Inaczéj....»

Starhemberg nie dał mu skończyć. Wiedziano,
Że jest porywczy, jak rozpęd żywiołów,
Lecz dziś pokazał twarz jeszcze nieznaną.
Zgrzytnął zębami — poszarzał, jak ołów.
— «Co znów?» — zakrzyknął. — «Czyście się popili?
«Kapitulować? I to właśnie w chwili,
«Gdy szturm odparto? Gdy jest zmiana losu?
«Gdy już Król Polski stoi przy Dunaju?
«Zginać, u portu? Zgrzeszyć, u wrót raju?»
— Tu przerwał — brakło mu głosu.

Wtedy, podniósłszy velum koronkowe,
Matrona rzekła: — «Wierz mi, ja niemłoda,
«Znam świat. Dziś Wezyr, pobity na głowę,
«Jeszcze łagodne warunki nam poda.
«Synów straciłam już dwóch.... Czyż i trzeci
«Ma ginąć? Grafie, ach i ty masz dzieci!
«Król? Czy zwycięży? Czy zdąży? Czas drogi!
«Panienki, proścież! Postawcie na swoim.»
— Tu śliczne panny opadły go rojem,
Z płaczem objęły mu nogi.

Wstrząsnął się.... łysnął krwawemi oczyma.
 — «Wiecież wy» — mówił — «o co mnie prosicie?
 «Któryż to Turek warunków dotrzyma?
 «Łaskaw, jeżeli zostawi wam życie!
 «Choćbym na bronzie spisał z nim traktaty,
 «Niech tylko wjedzie tu Wezyr brodaty,
 «A pożałują i stare, i młode!
 «Stare wydusi, lub na śmierć zachłoszcze,
 «A tym szczebiotkom, co mają urodę,
 «Winszuję, lecz nie zazdroszczę.

«Teraz ty słuchaj, ty pani Hrabino!
 «Z ciebie gęś, mimo tych szronów na głowie!
 «Ph! Wielkie rzeczy, że synowie giną
 «Za tron i wiarę? Na toć są synowie.
 «Właśnie dla owój podwójnej ofiary,
 «Ja dotąd na was patrzyłem przez szpary;
 «Bo twój mąż.... Hrabia.... jest nam podejrzany.
 «On kiedyś listy zamieniał ze Zrynim.
 «Słówko niech pisnę, a pójdzie w kajdany,
 «I trzeci ów synek przy nim.

«Słyszcie wy, Rajcy, doradcy téj Pani!
 «Miasta nie poddam. Nie dam się złój szajce.
 «Wyście mi wszyscy, wszyscy podejrzani!
 «Dowód wynajdę! Powywieszam zdrajce!
 «Do kroćset djabłów, co się tutaj dzieje?
 «Zmiażdżę was wszystkich — lub sam oszaleję!»
 Tu Graf już czując, że przytomność traci,
 Rozepchnął rzeszę, i poszedł.— A świta,
 Szła za nim, szepcząc: — «Po co ci warjaci
 «Drażnią go? Słuchać, i kwita.»

Kiedy Kommendant odnalazł się w domu,
 I drogie głowy przycisnął do łona,
 Ach, to już nie był Dyktator z wyłomu!
 Wleciał.... U szyi zawisła mu żona,
 U nóg pięć córek. On tajał, rozmiękły,
 I dwie łyzy grube na rzesach mu pękły.
 — «Żyjecie jeszcze!» — zawołał.— Drgnął cały,
 Bo w murach: «Jeszcze!» odbiło się echem.
 Zamilkł. A one, z dziecinnym uśmiechem,
 Nawet go pytać nie śmiały.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Czesław Jankowski.

Typy niewieście w literaturze XIX-go wieku.

(Ciąg dalszy).

VI.

Madame Bovary. 1856.

Pani Emma z Ronault'ów Bovary nie podbiła świata szczytnymi tyradami i rewelacjami — jak Korynna; nie podbiła go egzaltacją ducha — jak Lelia; ani też interesującymi cierpieniami serca — jak Balzacowska najsłynniejsza heroina. Podbiły świat: kształty, nadane tej „pospolitej“ figurze przez niepospolitego mistrza, Flauberta...

Stworzył postać tę Flaubert między 1850 a 1856 rokiem. Wówczas, gdy już Balzac, Stendhal, Mérimée dali czytającej publiczności przedsmak *realizmu*, nie zadowolony reakcyjnych jej pożądań. Przeto też powieść „Pani Bovary“, drukowana z rękopisu w „Revue de Paris“ od października do grudnia r. 1856-go, była nie tylko pełnym objawieniem się realizmu, ale i zarazem oczekiwaniem Mesyaszem. W pismach Balzaca realizm pomieszany jeszcze grubo z romantyzmem; Flaubert dał dopiero światu pierwsze, stwarzające epokę, otwierające nowy okres powieściopisarstwa, dzieło realistyczne czystej krwi, bez żadnej przymieszki. Powieść jego przychodziła w porę. Naturalnym rzeczą porządkiem, ukazywała się już na widnokręgu literatury francuskiej, przodującej wówczas innym piśmiennictwom, reakcyjna zorza realistycznej epoki.

Dnia owego — którego zmierzch dziś oglądamy — zapaliła pierwsze blaski słoneczne „Madame Bovary.“

Na początek wywołała przedewszystkiem zdumienie i oburzenie. Publiczność załachotana rzuconą jej jednocześnie „Dama kameliową“ i całą garścią analogicznych, mocno „podniecających“ utworów, nie poznała się na razie na wyjątkowych przymiotach „Pani Bovary“ i uchwyciła się przedewszystkiem jej najjaskrawszych kart, sądząc, iż ma do czynienia z powieścią, obliczoną na znany efekt. Tylko, że jak tym razem — dzięki odważnemu talentowi Flauberta — efekt przeszedł wszelkie oczekiwania i sięgnął, dokąd pióro powieściopisarskie w biały dzień nie sięgało dotychczas. Stał się skandal. Prokuratorya państwa wytoczyła Flaubertowi proces o szerzenie zasad niemoralnych i antyreligijnych. Flaubert wygrał proces na zasadzie sądowego orzeczenia, że... bądź co bądź nie miał zamiaru puszczania w świat, obliczonej li tylko na efekt, książki pornograficznej. Poznali się sędziowie na szalonej *prawdzie*, mistrzowsko w powieści odtworzonej, i uznali ją za okoliczność łagodzącą. Publiczność, nawet krytyka, miała dopiero znacznie później odkryć w „Madame Bovary“ to, co zapewniło jej nieśmiertelność i do dziś dnia cieszy się opinią najdoskonalszego *wzoru* i *typu* realistycznego traktowania przedmiotu. Publiczność i kry-

tykę, właśnie w chwili najgorętszego zajęcia się skandaliczną, ale i potężną powieścią Flauberta, zaskoczyła niespodzianie fajerwerkowa, ale przyznać trzeba, że niepospolita „Fanny“ Ernesta Feydau. Cały ferwor roztrząsań i — zachwyty zwrócił się do owego studium. Jak świat światem, nie czytano takiego wybuchu zazdrości i jakiej jeszcze! Dwudziestoczteroletni Roger, kochanek trzydziesto-pięcioletniej Fanny, zazdrosny śmiertelnie o jej... męża! A jakież sceny, jakie opisy, co za piekielny pieprz, no i prawda... realizm. Nie! to nie „Bovary“ objawiła światu nowy kierunek, to „Fanny.“ Nie! arcydziełem realizmu nie powieść Flauberta, ale powieść Feydeau, owego nieznanego przed chwilą jeszcze archeologa, co nagle wspiął się na szczyt powieściopisarskiego arcyzmu i z wyżyn tych woła: „*L'art est indifférent, étranger à la morale!*“

Opamiętano się. Poczytność „Fanny“ (coś przeszło dwadzieścia wydań) szła w dalszym ciągu, ale wrócono z wieńcami do „Pani Bovary“, zawyroковано ostatecznie, iż ona właśnie jest alfą i arcydziełem *realizmu* (*la grande oeuvre réaliste qui a fixé le genre*) — i pozostano przy tem do dziś dnia.

Trudno zgodzić się z Faguet'em, że Emma Bovary jest „najpełniejszym — *le plus complet* — wizerunkiem kobiety“ we wszechświatowej literaturze, „nie wyłączając dzieł Szekspira i Balzaca.“ Ale faktem jest, że „Madame

Bovary“ jest klasycznym dziełem powieściowym, a bohaterka powieści pod względem „prawdy“ odtworzenia jest arcydziełem. Nie tracimy z oczu, że Zola, urodzony romantyk a realista z zasady, kreacye swe rozdyma nie raz do potworności, przeczerńa je lub przejaszkawia; że Daudet, to tenże Flaubert, tylko rozdrabniający się w szczegółach anegdotycznych i zapominający się na bocznych ścieżkach liryzmu... A „Madame Bovary“ to *nie-skazitelny* realistyczny utwór. Nic—tylko prawda, rzeczywistość, do możliwych granic obiektywnie, do możliwych granic filozoficznie traktowana. To—złoto realizmu najczystszej próby, z minimalną przymieszką autorskiej indywidualności, a urobione ręką znakomitego pisarza-artysty.

Jesteśmy wśród szarej sfery drobnego mieszczaństwa, która pod zaklęciem ogromnego pisarskiego, realistycznego talentu, powstaje przed nami *cala naraz*, z ludźmi, otoczeniem ich, z akcją i szczegółami opisowemi. I taką będzie stała przed oczyma naszymi—do końca.

Wśród sfery tej, pod strzechą rodzicielskiej „fermy“ wiejskiej, rośnie do trzynastego roku życia dziewczę—z natury romantyczne. Na czem polega romantyczność wrodzona? Na pragnieniu, na potrzebie: żyć po za własnym widnokretem, na szukaniu i znajdowaniu przyjemności, rozkoszy, szczęścia, poezji gdzieindziej, niż w ich otoczeniu i miejsce, gdzie się na świat przyszło i gdzie domniemanie Bóg żyć przeznaczył. Dwunastoletnia Emma Renault zachwyca się przygodami „Pawła i Wirginii“, potem poezjami Lamartine’a, następnie pismami Chateaubrianda i romansami Walter-Scota. Oddana do klasztoru roztapia się z rozkoszą w pobożnych, egzotycznych legendach. Matka jej w trakcie tego umiera i dorosła już dziewczyna wraca do fermy, objąć tam rządy niewieściej gospodarki. Co za ohydna—rzeczywistość! Emma nie znosi jej, ucieka od zajęć swych i z podwórka fermy w świat... romantycznych marzeń. Ale jakaż przemiana wyrwać ją zdolna z tego obmierzłego widowiska? Chyła zamężcie. Zjawia się pewnego poranku wdowiec—skończone zero—Karol Bovary, oświadcza się i panna Renault zostaje panią Bovary.

Trudno o większe przeciwieństwo dwóch natur. Karol, to poza chodząca, nudny, niemądry, nie widzący nic po za chwilą bieżącą, bierny, niedołęga. Ona spragniona „pokrewnej duszy“, z którą choćby już tylko podzielić się mogła marzeniami swemi. Jako narzeczoną, posiadał jeszcze pewien urok, że przynosi—zmianę; jako mąż, stracił i ów słaby odlask uroku. Emmę opada straszliwa nuda.

I oto raz, na chwilę, ale na cudowną chwilę, otwierają się przed nią wrota marzonego raj. Zaproszoną zostaje w sąsiedztwo, do rezydencji ludzi niezmiernie bogatych i niezmiernie dystyngowanych. Oto ów „wielki świat“, oto atmosfera, ku której wyrwa się Emma Bovary! Marzenia jej przybierają konkretne kształty; wraca do „izby“ swojej upojona, oczarowana i—nieszczęśliwa. Wielki mają urok okolice, których się niema nigdy zobaczyć; stokroć większy a do bólu drażniący urok mają miejsca, które się raz ujrzało przelotem i do których wrócić niema nadziei i spo-

sobu. Mąż wydaje się teraz Emmie po owych hrabiach i salonowcach, bardziej jeszcze prostaczym i wstępnym, życie ich w porównaniu do „tamtego świata“ jeszcze bardziej nieznośnym i rozpaczliwie szarem.

W takim to usposobieniu poznaje Leona; człowiek to nader pospolity ale... widział Paryż i zachwyca się nim; ma pewne poglądy na najnowsze romanse i muzykę włoską. Można z nim rozmawiać; to partner do dyalogów. Zbliża ich ze sobą „pokrewieństwo dusz“, sympatya—nie miłość. Mógłby stosunek ów zejść znacznie dalej, ale Leon odjeżdża i zostawia Emmę podrażnioną a nie zaspokojoną. zastępuje go Rudolf, zgodnie z naturą swoją szybciej idący do celu. Emma rzuca mu się w objęcia spragniona—odmiany. Byle wyjść z tej monotonnej szarzyzny nieskończonej nudy! Nowe wrażenia, nastrój nowy życia zachwycają ją; mniejsza o Rudolfa; dzięki związanemu z nim stosunkowi ma—dywersję, ma jakby odbłask w życiu ukochanego romantyzmu. Zrywa się w szersze jeszcze i jeszcze pełniejsze wrażeń sfery. Proponuje mu uciec z nim w świat. Rudolf, zastanowiwszy się rozsądnie, nie zgadza się na ten ambarasujący „dalszy ciąg“ i—porzuca nazbyt wymagającą Emmę.

Dla pani Bovary cios to bolesny. Rozchorowuje się; szuka chwilowo kompensaty w egzaltacji religijnej; ale to okres tylko przejściowy. Zjawia się znowu Leon i zostaje następcą Rudolfa. Teraz Emma jest już w tem wieku, że nie szuka „pana i władcy“ natomiast pragnie sama panować nad kochanym człowiekiem. A do roli takiego „ukochanego człowieka“ nadaje się Leon doskonale. Emma kocha go; kocha go już nie wyobraźnią, jak Rudolfa, ale zmysłami. Zmysły też dają jej—odurzenie, zapamiętanie się, których po rozbiciu się romantycznych ideałów, tak spragniona. Ale to jest upadek, by nie użyć innego wyrazu:—rozpusta. Niebawem przyjdzie powolne staczenie się w przepaść. Pani Bovary żyje nad stan; zaciąga długi, rujnuje męża. A używać życia a zwłaszcza uciech jego zaprzestać nie chce.

I oto przed nią dwie drogi: albo pójdzie dalej utartym gościńcem—kurtyzan, albo... Ale pomimo moralnego spodlenia się (idzie pożyczka pieniędzy nawet u ex-kochanka swego Rudolfa) żyją w niej jeszcze instynkta romantyczne. Życie—kurtyzan! Ależ to straszna, niewolnicza *rzeczywistość*, bez odcienia nawet „romantyzmu!“ Nie, — ona życia takiego nie zniesie. I wybiera drugą drogę: samobójstwo. Wyrzuty sumienia? rozpacz? Nie, bynajmniej. To ruina ostateczna—marzeń, co już teraz nietylko nie ziszczą się, choćby w tyśiącznej części, ale nawet już nie wskrzeszą w upadłej na dno duszy.

Oto naczelną postać głośnej powieści Flauberta, postać, dokoła której obraca się wszystko, co autor w książce swej zgromadził.

To gwałtowny przedewszystkiem protest przeciwko romantycznemu nastrojowi dusz, wywołanemu przez literaturę dotychczasową, rozbudzającą fatalnie wyobraźnię i sentymentalność uczuć. Chcecie-ż wiedzieć, czem jest w życiu romantycznym, powszedniem, kobieta wychowana na romansach pani Sand? Przypatrz-

cie się Emmie Bovary. Taką Emmą Bovary są słynne „Indyana“, „Valentyna“, „Lélja“, tylko, że pani Sand podobało się pokazać je nam na widowni jakichś fikcyjnych okolic i wypadków, a Emma Bovary stoi tu, w półśrodku nas.

Odstraszący przykład?... Głęboko wrażliwy obraz równoległego rozwijania się upadku moralnego i ruiny materialnej, prowadzących do okropnej katastrofy samobójstwa? Zapewne, nie nie stoi na przeszkodzie zapatrywania się na „Madame Bovary“ z tego punktu widzenia. Tylko, że wówczas orzec musimy, iż książka jest wysoce moralną i umoralniającą.

Gdyby jednak przyszło komu do głowy powiedzieć sobie: Ba! Emma Bovary jest damą wcale sympatyczną i ma gusta, dalibóg, nie-pozbawione powabu, tylko że głupia, strasznie głupia. Doprowadziły ją do samobójstwa, nie występki moralnej natury, bo te jej nie zatrzymały bynajmniej życia, doprowadziła ją rozrzutność i piramidalna niezdarność w prowadzeniu interesów funduszowych i majątkowych. Mając inną głowę, tak łatwo uniknąć zagmatwania budżetowego!... Cóż wówczas innego przyniesie na świat „Madame Bovary“ jeśli nie jawne—zgorzenie?

Tak się rzecz ma z całą literaturą, t. zw. realistyczną, której konsekwentnym rozumem był naturalizm. Autor, rzucający nam przed oczy bezwzględnie *wszystko*, co mu rzeczywistość pod oczy podsunie a stroniący, jak od ognia, od najłżejszej subiektywnej zaprawy owych „dokumentów“, nieraz bez krzty złej woli splugawi tylko i zatruje dusze, wleczone przez rynsztoki i cuchnące zaułki. To też począwszy od pani Bovary Flauberta a kończąc na Nanie Zoli, wszystkie te wywołane przez „modnych“ autorów realistyczne, potem naturalistyczne postacie niewieście—więcej zarazy moralnej rozsiały po świecie, niż przyniosły korzyści rozwojowi piśmiennictwa. Ani słowa, rozsmakowały ogół w jędrniejszym, esencjonalniejszym pokarmie, niż ów, co go podawała masom belletrystyka sentymentalna, potem egzaltowana, następnie romantyczna. Rzuciły, rzecz można, granit prawdy pod tęczę zmyslenia i bez owej podstawy żadne dziś dzieło artystycznego piśmiennictwa obejść się nie może. Spopularyzowały wreszcie... fizjologię. Ale—postacie owe, „wielkie prawdą i szczerością odtworzenia“, okłamywały nas systematycznie, podając nam fizjologię zamiast psychologii. Aż oto poczęły nam spadać łuski z oczu. Bezdenna głębokość twórców tych poezji okazała się płytkiem zeszkrobaniem z człowieka fizjologicznych objawów. Potem z fizjologicznej tej miazgi lepiono—o! kunsztowne bardzo—jednolite figury, zapewniając, że podobnie, jak one, żywy człowiek, co za model im służył, też ukształtowany przez naturę z jednolitej fizjologicznej miazgi. Wierzyliśmy na słowo przez czas aż nadto długi. Zamiast podejrzewać pokazywane nam posągi o nieścisko kopii, przestaliśmy sami, zahukani, czuć w sobie samych inne jakiebądź pierwiastki, okrom matematycznego funkcyonowania fizjologicznych praw. Smutno nam nieraz było i gorzko, żeśmy tacy; nawet najedliśmy się stąd pesymizmu co niemiara; ale jakże tu nie wierzyć „niedościgłej spostrzegawczości“ oraz „realistycznemu kunsztowi“

twórców wizerunków naszych, co, mówiono: żywsze, niż życie samo! Reakcyja w literaturze, błyskająca przedświatłami swemi już na widowionie ostatnich lat XIX-go wieku, nie jest tylko znana ewolucją od realizmu do idealizmu w sztuce; znać ją ona osiągnięcie przeświadczenia, że naturalizm nie dał odbicia pełnego człowieka jestestwa, oraz, że w zakresie jego sformatów nie da się zmieścić to, co ludzki artystyczny duch twórczy ma z siebie do wyrzucenia.

Poczęto w „realistyczną“ znakomicie wyrobioną glinę ciskać, jako przymieszkę, najróżnorodniejsze pierwiastki, poodkrywane w jestestwach ludzkich i poczęto z tego nowego, wciąż ulepszanego materiału, kształtować na początek—próbne pomniki. Wiele z nich porozpadało się natychmiast; w inne napróżno twórca silił się tehać ducha—nie ożyły; jeszcze inne, lepienie doskonałe, ale z wadliwego materiału, pokrakami powychodziły z rąk zawiedzionego artysty... Pozostali jeszcze przy życiu, dawnego okresu koryfeusze, patrząc na te próby, parskali tryumfalnym śmiechem... Już przed dawnymi, porzuconymi bożyszczami rozniecano na nowo pogańskie kadzielnice, w nadziei, iż tłum powróci przed opuszczone ołtarze...

Nadzieje zawiodły. Natomiast na niwie piśmiennictwa roić się zaczęło coraz gęściej od mgławic, zapowiadających pojawienie się nowych gwiazd, i ścieląc po ziemi poszarpane cienie, przeciągały powoli ponure i posepne Ibsenowskie widma...



„O byt i zdrowie pracowni warszawskich...“



Tak zatytułował dr. Józef Zawadzki doniosłego znaczenia odczyt, wygłoszony w Towarzystwie higienicznym w dniu 25-ym z. m.

Każdy umysł obejmujący horyzonty szersze tak co do chwili obecnej, jak i dobra przyszłych pokoleń, jednoczyć się musi ze szlachetnymi pobudkami i pragnieniami sz. prelegenta, nawet mimo małeńkie różnice w zapatrywaniu na podjęte w odczycie kwestye.

Odsyłając tych, którzyby pragnęli szczegółowo poznać się z bogatą treścią odczytu do „Kuryera Warszawskiego“ z d. 25-go z. m., streszczam tu pokrótce ważniejsze punkty.

Dr. J. Zawadzki zaznacza, że pracownice warszawskie, jako to: służące, szwaczki, praczki, robotnice fabryczne, sklepowe i t. p., w skutek pracy nadmiernej, warunków nienormalnych tejże, podlegają zbyt często rozlicznym zbooczeniom fizyologicznym; zaś te ostatnie, wywołują szeregi całe chorób, które prawem dziedzictwa, jako smutna spuścizna przechodzą na następne pokolenia.

Dr. J. Zawadzki w wymownem a gorącym przemówieniu, wzywa ogół do wspólnej pracy nad usunięciem nadużyte, podając wskazówki i sposoby.

Pozwalam sobie zaznaczyć, że co do losu służących szan. prelegent z natury rzeczy nie

może być *au courant* tej kwestyi, przebywając zdala od kuchni, spiżarni i t. d. Jedyń- nie my, gospodynie i pracodawczynie, możemy rzucić jasne światło na tę sprawę.

Odległą jest epoka, kiedy z całą słuszością nazwać można było tę klasę kobiet „białymi murzynkami.“

Kanalizacya, liczba pralni ogólnych, wznosząca wciąż ilość jatek i sklepików zawierających pod ręką wszystko, cokolwiek do użytku domowego jest potrzebne, wpłynęły znakomicie na polepszenie losu służących i odjęły im trzecią część pracy.

Co do niedostatecznego pożywienia, przeciążania pracą, wymagań trzymających jakoby w ciągłym naprężeniu wolę ich i energię, co do złego obejścia wreszcie, to wszystkie te zarzuty upaść muszą wobec zupełnej swobody, z jaką służące w każdej chwili zmieniać mogą pracodawców, gdy są z nich niezadowolone.

Pozostaje kwestya pomieszczenia: tu zgadzam się po części z szan. prelegentem, lecz niestety, ileż tysięcy matek z prawdziwym smutkiem umieszcza łóżeczka swoich dzieci w ciemnych, wilgotnych pokojach sypialnych i dziecinnych, dzięki zabójczemu systemowi budowania domów w ten sposób, że czteropiętrowe oficyny tworząc czworobok, wyгнаły na zawsze światło i dostęp powietrza z większości naszych mieszkań.

W tym więc wypadku, niema nie do zrobienia na razie i czekać musimy cierpliwie, aż więcej wiedzy i światła nauczą ludzi, że przy budowie domów, względ na zdrowie i życie przyszłych mieszkańców, powinien być najpierwszym, najgłówniejszym.

Żądanie, aby służące miały codziennie parę godzin dla siebie wyłącznie przeznaczonych, jest zupełnie słuszne. Jednakże wobec samowoli i zaniku moralności ze strony służących, a krańcowej obojętności ze strony pań na duchową stronę tych istot, którym przecie winny opiekę, godziny te wypoczynku kto wie, czy nie przyniosłyby więcej szkody, niżeli pożytku. Inna rzecz, gdyby czas ten przepędziły służące na przeczytaniu pożytecznej książki, szyciu dla siebie pod okiem pani, lub panienek domowych, zamiast wystawać w bramie, obmawiać chlebobawców, lub może w stokróć gorszy sposób ze swobody korzystać.

Według mego zdania, w obecnej dobie, co się tyczy zaspokojenia potrzeb materialnych naszych służących, chlebobawcy czynią niemal wszystko, co do nich należy.

Nie roztrząsam, czy to jest zasługą ich pojęć humanitarnych, czy siłą warunków obecnych. Dość, że tak jest!

Dajemy służącej to, co i zwierzęciu, z którego ciągniemy korzyści, t. j. obrok dostateczny, nie przestając uważać jej, jako maszynę roboczą i nie podnosząc jej ku sobie.

Tu więc dopiero bardzo wiele jest do zrobienia, bo umoralnienie tych istot, prawie wyłącznie od stosunku z chlebobawczyniami zależy. Niechaj ciepło miłości chrześcijańskiej stopi lody obojętności między panią a służką, a wówczas może być mowa o koniecznej sympatii i życzliwości wzajemnej.

O ileż smutniejszą jest dola całej falangi szwaczek podrzędnych, robotnic fabrycznych, kwiaciarek, hafciarek i t. p. Służąca nie za-

troszczy się o mieszkanie, pożywienie, przebywa często na świeżem powietrzu, robi sobie dowolne przerwy w swej pracy, która może być nawet ciężką niekiedy, ale nigdy możliwą i niewymagającą ciągłego naprężenia i skupienia uwagi.

Szwaczki to zatem, w tej liczbie oczywiście kwiaciarki, krawaciarki etc., i robotnice fabryczne z większą słuszością porównać można do „białych murzynek“, o których dole społeczeństwo powinno się zatroszczyć.

Zdajmy sobie sprawę, co jest do zrobienia w tej kwestyi:

1) Zgodnie z projektem dra Zawadzkiego, zmniejszyć godziny pracy, przeznaczając obojętnie dwie godziny na obiad i przechadzkę;

2) Przestrzegać, aby pracownice były widne, suche, obszerne i dobrze wentylowane;

3) Podnieść płace;

4) Niechaj panie utrzymujące pracownice, umieją unormować ilość przyjmowanych zobowiązań do sił roboczych, jakimi rozporządzają. Uniknęłyby się tym sposobem nadmiernego ekscytowania młodych organizmów.

Podpuchnięte oczy, blade, jakby nalane, twarze, upadek sił, zdenerwowanie, oto, co pociąga za sobą: pospiech. A takich krytycznych momentów mamy w roku kilka: karnawał, święta Bożego Narodzenia, Wielkiej-Nocy, sezon każdy i t. p.

Jeżeli jednak usiłowania w tej sprawie mają doprowadzić do pomyslnych rezultatów, to przedewszystkiem starać się należy o rozszerzenie zakresu pojęć pracownic, co, bodaj czy nie będzie najtrudniejszą częścią zadania.

Z prób podjętych dotąd przeze mnie w tym kierunku, żadna się nie udała. Lecz nie należy przesądzać przyszłości! Usiłowałam na przykład po wielekroć, przekonać dziewczęta pracujące, o szkodliwym siedzeniu w ciągu godzin kilkunastu w ciasnym gorsecie; wykazywałam szkodliwość zastępowania obiadu serem lub wędliną, wskazując choćby kuchnie ruchome, jako dostarczycielki gorącej i pożywniejszej strawy.

Jak w pierwszym tak i drugim wypadku, spotkałam się z oburzeniem i niechęcią. „Jakże jabym wyglądała bez gorsetu, proszę pani...“—oburzała się niejedna; albo: „Ja bym oczu na ludzi podnieść nie śmiała gdyby mnie zobaczyli przy kuchni ruchomej z garnuszkiem.“

Przekonywania moje, iż wszystko pogodziłoby się dało przy dobrych chęciach, na nie się zdały. A przecież takie kuchnie ruchome gdyby im pozwolono było rozwinać się, byłyby niewątpliwie rozszerzyły działalność swoją i prócz zup, mogłyby i mięsne rozwozić potrawy.

Kilka lub kilkanaście takich pracownic, zasiadłszy do wspólnego stołu w lokalu pracodawczyni, mogłyby chyba bez fałszywego wstydu zjeść obiad z kuchni ruchomej.

Dodajmy jeszcze, że dziewczyny te, po większej części odmawiają sobie pożywienia i możliwych wygod, byle zdobyć szereg jakiś do stroju, fatalaszki, granicę ich możliwości przechodzące.

Ha! Przykład z góry idzie!

Ta gorączka błyszczących piórek, jak epidemia ogarnęła wszystkie sfery.

Przechodzę do robotnic fabrycznych.

W kwestyi tej, jako nie badanej przeze mnie szczegółowo, zaznaczyć mogę jedynie, że gdy idzie o kobiety *zameżne* higiena jest tu gwałcona w swoich najgłówniejszych podstawach i momentach, co odbija się fatalnie na zdrowiu matek i rozwoju dzieci.

Zwyrodnienie typu ludzkiego, jest tu najbliższą konsekwencyą.

Przypatrzmy się dzieciom najniższych sfer robotników fabrycznych.

Stożkowate głowy, czoła wklęsłe i skronie, nieomal zanik nosa, usta sine, zarysowane w podkowę, oto ich cechy.

Przyznaję, że prócz pogwałcenia praw fizjologicznych, wchodzą tu w grę i inne czynniki, ale ten jest najgłówniejszy.

Otoczyć zameżną pracownicę fabryczną opieką w chwilach, gdy tego koniecznie stan jej wymaga, dać jej wówczas wypoczynek potrzebny, jest obowiązkiem humanitarno-społecznym. A ponieważ wypoczynek o głodzie, nie wieleby przyniósł korzyści, zatem podwyższenie płacy robotnicom, lub przynajmniej nie wytrącanie im z zarobku dni, w których stan ich nie pozwala im pracować, jest rzeczą konieczną.

Pozostaje higiena ducha robotnic. Ale tu, jak przypuścić należy, właściciele fabryk zsolidaryzują się z Towarzystwem ochrony kobiet, zakładając sale zabaw, czytelnie i t. p. Najzupełniejszą przyznaję słusność autorowi „O byt i zdrowie pracownic“ i to bez zastrzeżeń, we wszystkim, co się odnosi do sklepowych w piekarniach. Posadzki kamienne, komórka za sklepem ciemna, służąca za mieszkanie, wstawanie o świcie dla odebrania pieczywa, podnoszenie ciężkich drzwi żelaznych i wieczna niewola, bo się nigdy ruszyć ze sklepu nie mogą, gwałtownie wołają o reformę.

Co do praczek i prasowaczek, los ich istotnie godzien jest pożałowania, lecz przynajmniej to zło jest czasowe; rozpowszechnienie maszyn do prania i prasowania, koniec temu położy. Dziś można jedynie przemawiać do sumienia i inteligencji ogółu, aby w wypadkach choroby zaraźliwej w domu, bieliznę chorych oddawano do Kamery dezynfekcyjnej.

Co do nauczycielek, to przykrości wpływające z ich powołania jest to *malum necessarium*, na które obecnie chyba rady niema.

Można pragnąć tylko dla nich ciepłego obejścia ze strony pracodawczyń, uszanowania w nich inteligencji, godności pracy, sal wspólnych, gdzieby znajdowały rozrywkę, schronisk, w których zmęczone i zdenerwowane, mogłyby znaleźć czasowy odpoczynek, oto wszystko!

Trudne to zaprawdę zadanie, reparować starą rudę, która od fundamentów spróchniała i której mieszkańcy od piętr wyższych do najniższych, obojętnie, wrogo nawet względem reform wszelkich usposobieni, wołają kroczyć utartymi ścieżkami konserwatyzmu, byleby ich zostawiono w spokoju.

Kwestya zdrowia i poprawy bytu kobiet pracujących, stać może mocno, gdy ją podeprą usiłowania wszystkich warstw społecznych.

Dopóki jednakże nieprzebyty mur lodowatej pogardy i obojętności, odgradzać będzie da my w jedwabiach od skromnej pracowni-

cy, dopóty wszelkie usiłowania pojedynczych jednostek, pozostaną bezowocne.

Sprawy wielkie i święte, mające na celu dobro klas upośledzonych, potrzebują być ogrzane ciepłem miłości bratniej.

Gdyby tę boską iskrę, co czystym ogniem płonie w sercach szlachetnych, rozdmuchać w płomień ogarniający ogół cały, wówczas siejba na niwie społecznej, obfity plon by przyniosła.

Załóżmy naprzykład stowarzyszenie pracownic. Będziemy mieli, jak Bóg da i zabięglwość nasza sprawi, sale wspólne dla pracownic gwoli ich umoralnieniu, rozrywce, oświeceniu, pod protektoratem i za pieniądze jaśnie wielmożnych i wielmożnych pań. Cóż ztąd? W stosunku z robotnicą, pani nie zapomni nigdy, że jest *panią* i że ma przed sobą istotę bez jedwabnej halki, eleganckich manier i francuskiego języka i to zamknie jej drogę do sere tych, dla których pracować przyjdzie. „Liebe weckt Liebe...“ Pamiętajmy o tem i starajmy się wzbudzić ją dla siebie.

Świeżo założone Towarzystwo ochrony kobiet, rozwijając coraz szerzej działalność swoją, z natury rzeczy wpłynie na polepszenie warunków bytu kobiet pracujących. A więc wedle sił i możliwości dopomagajmy szlachetnym inicjatorom.

Nie wspominałam dotąd o wielkiej doniosłości szkół specjalnych dla służących, jakie istnieją w Danii, Szwecyi etc. O tych u nas najpierwej należałoby pomyśleć. Szkoły takie rozszerzą ciasny zakres pojęć, nauczą poczucia obowiązku, zrozumienia wartości czasu, rozbudzą władzę kontrolowania swoich czynności, wobec oczywiście gruntownego obznajmienia się ze służbą.

Wówczas nie będzie już dwunastoletnich „popychadeł“, wyzyskiwanych ze szkodą rozwoju fizycznego przez pracodawczynię.

Szkoła zajmie się nimi i odda już wykwalifikowane, zastrzegając sobie prawo opieki.

Lecz i ta opieka nie powinna być uciążliwą, bo wolno nam chyba żywić nadzieję, że członkinie Towarzystwa ochrony kobiet, rekrutować się będą z pracodawczyń.

Wniosek p. Bojanowskiej o założenie szkoły rzemieślniczej dla kobiet, ma również doniosłe znaczenie.

Mamy też do zanotowania fakt pomyślny. Jak donosi „Kraj“, p. Zofia Orłowska uzyskała pozwolenie na otwarcie w Warszawie szkoły niedzielnej dla kobiet, zajmujących się rzemiosłami, z programem szkół elementarnych żeńskich.

Jest tu atoli maleńki szkopał, na który zwrócić należy uwagę.

Kiedyż te pracownice zmęczone całotygodniową pracą odpoczywać będą?

Wszak wiadomo, że dla równowagi moralnej i fizycznej, wypoczynek i rozrywka są niezbędnie potrzebne. Czy nie słusznem zatem byłoby, aby pracodawcy skrócili im o parę godzin dziennie pracę i aby te godziny użyte zostały na uczęszczanie do szkoły? Nim atoli ta błogosławiona zmiana nastąpi, życzyliśmy całym sercem przyszłej szkole niedzielnej powodzenia.

W zakończeniu zaznaczyć jeszcze muszę objaw pocieszający: Odczyt dra Józefa Zawadzkiego, wzbudził ogromne zainteresowanie,

jednając sz. autorowi „O byt i zdrowie pracownic warszawskich“, głębokie uznanie.

Ufajmy, że ze względu na olbrzymie znaczenie społeczne, zainteresowanie to nie zgaśnie, jak ogień słomiany, lecz rosnać będzie wraz z rozwojem Towarzystwa ochrony kobiet.

Wanda Grot-Beczowska (Korotyńska).



J A I O N A.



Jesteśmy z sobą, iak dwie rodzone
Siostry bliźniacze:
Ja z nią się smucę, a ona ze mną
Wzdycha i płacze,
Jedna przy drugiej idziemy razem
Wciąż — od kołyski,
Przez bezdna bólów, przez zwątpień noce,
Przez szczęścia błyski...
Jeno, gdy dojdziem kiedyś do kresu
Ziemskiego bytu,
Ja spocznę — ona skrzydła rozłoczy
Z mgły i błękitu,
I na nich duszę moją uspioną
Cicho ułoży,
I na nich duszę ona poniesie
Hen — przed tron Boży. —
Gdzie dla strudzonych zorza spoczynku
Pali się złota;
Tam ją poniesie moja bliźniacza
Siostra — Tęsknota!...

Wanda Krasuska.



PRZEGLĄD MUZYCZNY.



Dalibor. Opera. Sarassate. Reisenauer. Pugno. Bossi. Koncert Noskowskiego. IX symfonia Beethovena. Nowości muzyczne.

Opera czeska podobnie przechodziła koleje, jak i nasza: do pierwszej połowy bieżącego stulecia nie zdołała wznieść się ponad poziom zwyczajnych produktów muzycznych „kapelmistrzowskiego“ stylu — dopiero w drugiej nabiera polotu artystycznego. Pierwszy ważny krok w tym kierunku postawił Fryderyk Smetana, jego dopiero śladami poszli późniejsi kompozytorowie: Fibich, Dworzak, Kovarzewic i inni. Obecnie naród czeski Smetanę wieńczy laurem zasługi; za życia jednak człowiek ten, uważający za misję swoją wobec narodu wprowadzić muzykę czeską na wyżyny współczesnej sztuki europejskiej, nie odebrał ani cząstki tej czci, jaką mu złożono po śmierci — ba, nawet uznania należnego się nie doczekał. Pierwsza jego opera „Brandeburezy cy w Czechach“ wydała się dziełem naśladownicztwa muzy niemieckiej i nie wzbudziła ani zajęcia ani sympatii. „Sprzedana narzeczona“ — to arcydzieło muzyki czeskiej, nie zdołała Pragi usposobić przychylniej dla młodego kompozytora. Dopiero lata późniejsze wyrobiły jej należne stanowisko; zanim to jednak nastąpiło, trzecia z rzędu opera Smetany, „Dalibor“, wystawiona w 1868 roku, upadła, a twórcy jej wprost zarzucano, iż pragnie muzykę czeską — zniemczyć! Rzeczywiście, na „Daliborze“ przebiega wpływ kierunku nowoniemieckiego, którego apostołem był Ryszard Wagner. Znajdujemy tu powiązanie numerów w całość sceniczną, dążenie do ścisłego połączenia muzyki z akcją, często równouprawienie orkiestry z głosami i system t. zw. motywów przewodnich, w wielu miejscach użycie szczegółów technicznych lub uplanowanie i rozwijanie pomysłów przypominające nieco mistrza z Bayreuthu, z okresu poprzedzającego wysta-

wienie „Nibelungów.“ Oto wszystko, w czem Smetana w operze swojej wzorował się na dziełach Wagnera. Jak widzimy z tego, zarzut, jakim ówczesna krytyka obarczyła mistrza, oparty był na zbyt kruchych podstawach. Że Smetana starał się z bogacić swą wiedzę muzyczną w miarę jej postępu w Europie, to mu ujmę nie czyni—przeciwnie, za wielką zasługę poczytać mu należy, iż pracując ustawicznie nad sobą, starał się przejąć to tylko, co dobre było. To też biorąc często za wzór Wagnera w budowie dramatu muzycznego w korzystaniu ze środków techniki nowoczesnej, nie zrywał jednak z tradycjami muzyki klasycznej. Dlatego w „Daliborze“ widnieje postanowienie form *muzycznych*, znajdujemy w nim rozwinięte prawidłowo ustępy muzyczne, traktowanie głosów, jako materiału śpiewnego, nie jako instrumentów, śpiew zaokrąglony, a nadewszystko wiele chwil, zawierających melodye o dłuższych i szerokich okresach, jasne, przystępne, pełne nastroju, szlachetności i prawdziwego polotu. A chwil takich jest bardzo dużo. Na szczególną uwagę zasługują tu: w akcie pierwszym—motyw towarzyszący Daliborowi, pełne poetycznego oroku opowiadanie Dalibora przy wtórze skrzypiec o zabitym druhu i charakterystyczna skarga Milady, w akcie drugim—żwawy chór, oparty na motywach słowiańskich, intermezzo przy ukazaniu się cienia Zdzisława, aria Dalibora i duet miłosny, wreszcie w akcie ostatnim—aria Benesza i chór kończąca operę. Libretto pióra Józefa Weinziga posiada również wiele stron dodatnich. Pomijając zbyt nagłą, niezrozumiałą i niewymotywowaną psychologicznie miłość zobopólną Dalibora i Milady oraz wyposażenie bohatera w cechy zbytniego i przeczułonego marzycielstwa, jest ono nakreślone wogóle zręcznie, posiada treść ładną i zajmującą, stopniuje i utrzymuje do końca sympatię i współczucie słuchacza dla obojga kochanków, kompozytorowi zaś nastęrcza wdzięczne pole do ilustracji muzycznej. Tyle o zaletach opery. Co się tyczy stron ujemnych, to „Dalibor“ posiada ich wprawdzie nie wiele, ale posiada. Do nich przedewszystkiem zaliczyć należy zbyt jednostajny i nużący nastrój w dwóch aktach ostatnich, szczególnie w trzecim. Sceny idą po sobie w luźnych urywkach muzycznych, osoby działające mało co śpiewają, gdyż wszystko prawie rozwija się w stylu opowiadawczym. Otóż tych opowiadań, pełnych retoryki, jest stanowczo za dużo. Dalej instrumentacja, aczkolwiek barwna i piękna, grzeszy chwilami nadmiarem silnych efektów dźwięczności. Jest sporo takich momentów, gdzie huczne tło podkładu orkiestrowego zagłusza poprostu głos śpiewającego.

„Dalibora“ uznano w Czechach za dzieło niepospolitego znaczenia dla sztuki narodowej, dla nich może on liczyć i u nas na powodzenie rzetelne, tembardziej, że wykonany jest i wystawiony w sposób, przynoszący chlubę scenie warszawskiej. Rola tytułowego bohatera jest jakby stworzona dla p. Florjańskiego. Głos duży, wytrzymały, używany umiejętnie, gra bardzo dobra, pełna zapału, dykcja jasna, deklamacja uczuciowa, inteligencja niepospolita, frazowanie piękne—oto, czem przemawia artysta do słuchacza. P. Korolewiczówna, jako Milada, czaruje, jak zawsze, dźwiękiem prześlicznego głosu, a wzrusza szczerością uczucia i wyrazu. Inni wykonawcy w osobach p. Kamińskiej i Skulskiej oraz pp. Didura, Sienkiewicza, Gorskiego, Dylińskiego i Kawalskiego wywiązują się z zadania doskonale. Chóry trzymają się dzielnie zarówno, jak orkiestra pod energicznym kierunkiem dyr. Młynarskiego. Dekoracje, kostiumy stylowe, akcesoria i t. p. godne są sceny pierwszorzędnej. Układ sceniczny, ruch mas na scenie, porządek i ład we wszystkim wzorowy, noszą ślady wielkiej pomysłowości, pracy i energii nowego reżysera, p. Florjańskiego, i w tym kierunku rekomendują sympatycznego śpiewaka jak najpoehlebniej.

Aby wyczerpać do dna wszystko, co się tyczy działalności opery warszawskiej, nadmienić muszę jeszcze o pomysłnych występach pań Bo-

hussówny i Kaftalówny, o wystawieniu „Lohengrina“ w języku polskim, o stałym powodzeniu „Święta Ognia“, o szczęśliwym pomysle dawania „Jasia i Małgosi“ co niedziela w godzinach popołudniowych specjalnie dla „Milusińskich“, których roje wesołym szczebiotem i głośniei okrzykami objawiają niedwuznacznie zadowolenie swoje, oraz o tem, że próby z dawno nie granej już „Marty“ Flotowa i z „Livii Quintilli“ Noskowskiego są w pełnym biegu, a wystawienia tych oper oczekiwać należy w czasie bardzo krótkim.

Przechodząc następnie do koncertów, zaraz na wstępie zaznaczam, iż te w żadnym chyba z poprzednich miesięcy nie dostarczyły tylu podniosłych wrażeń, ile w ubiegłym, a omawianym w przeglądzie niniejszym.

Nie mówiąc już o takich siłach artystycznych, jakie przesunęły się przez estrady obu naszych instytucji muzycznych—Filharmonii i Towarzystwa Muzycznego, jak: Hubay, Sarassate, Consolo, Reisenauer i Pugno, dość powiedzieć o koncertach kompozytorskich Noskowskiego, Maszyńskiego i młodszych sił swojskich, o wykonaniu IX Symfonii Beethovena, o popisach na organie znakomitego wirtuoza, Henryka Bossiego, o wieczorach, poświęconych muzyce czeskiej i t. d.

Jakie wspomnienia pozostawił po sobie w Warszawie Pablo Sarassate, najwymowniej świadczyły o tem na obu występach hiszpańskiego skrzypka w Filharmonii tłumy słuchaczy, żądnych usłyszenia mistrzowskiej gry jego po kilkuletniej przerwie; jak zaś gra artysty działa jeszcze—dowodem niebawem zaiste entuzjazm, jaki ogarnął licznych jego wielbicieli. I nie dziwnego. Wprawdzie dawniejszy temperament skrzypka ostygł trochę, prowadzenie smyczka bywa niekiedy cięższe, dla ucha pochwytniejsze, ton, zawsze niewielki, jakby jeszcze zmalał nieco, ale w utworach, rodzajowi swemu i usposobieniu odpowiednich, głównie w kompozycjach własnych, szkoda tylko, że muzycznie niewielką wartość przedstawiających, wirtuoz zachwycał po dawnemu. Do ich wykonania wystarcza zupełnie tonik jego prześliczny, aksamitny, słodki a pieśczołliwy, oryginalność frazowania i niezrównana umiejętność wydobywania, z wielkim naturalnie smakiem, przeróżnych efektów dynamiki skrzypcowej znajdują szerokie zastosowanie, zacięcie i temperament, przejawiają się w stopniu dostatecznym, a elegancja w grze, świetność techniki, pewność w skokach, perliskość gam, powielność pasaży, śpiewność flazoletów, cyzelerska dokładność szczegółów, śliczny tryl i t. p. wprawiają formalnie w podziw.

Po dawnemu wywarł również wielkie wrażenie dwukrotnym swoim występem w Filharmonii i Tow. Muzycznym—dawny znajomy Warszawy, znakomity pianista, Alfred Reisenauer. Dziesięć lat przerwy, dzielące dawniejsze jego występy od gościny obecnej, wpłynęły na wyjątkową grę artysty w sposób niezmiernie dodatni. Reisenauer, przedtem wrzący i czasem nieokiełznany, a często nierówny, stanął przed nami, jako artysta dojrzały i głęboki. Obecnie jest w nim wszystko: i spokój, i poczucie stylu, i jasność w wykonaniu, i wyborne wnikięcie w treść i ducha wykonywanych utworów. Jeśli dodać do tego lwią siłę uderzenia, dźwięczność niezwykłą form, świetną technikę, wielką elegancję w grze i dziwną delikatność w wypieszczaniu okresów o nastroju liryczno-romantycznym, to bezwarunkowo zaliczyć należy wirtuoza do szczupłej garstki pianistów „wybranych“, o których wyrażać się trzeba tylko z najwyższem uznaniem.

Do tej garstki pianistów „wybranych“ należy i Raul Pugno. Już ta okoliczność, że taki np. Grieg uznaje go za najlepszego wykonawcę swych utworów, świadczy wymownie o potężnym i na wskroś oryginalnym talencie artysty. Pomijając już olśniewającą technikę, subtelność cieniowania, piękne uderzenie i wielką umiejętność wydobycia z fortepianu nadzwyczajnych efektów kolorystycznych, odtwórczość wielce inteligentna, prawdziwie artystyczna pomysłowość w opra-

cowaniu szczegółów, dziwny urok we frazowaniu zdań muzycznych, polot i rozmach szalony czynią grę Pugna niezwykłą i rzeczywiście porrywającą.

Dzięki organizatorom wielkiego koncertu religijnego na budowę kościoła pod wezwaniem Zbawiciela, usłyszeliśmy znakomitego wirtuoza gry organowej, Henryka Bossiego. Jeden ze słynnych muzyków, zdaje się Hummel, wyraził się niegdyś, że o dobrej technice fortepianowej stanowią: „obie ręce i pedał, a nad niemi kapelmistrz—głowa.“ Jeśli na owego kapelmistrza wkłada się dziś dużą odpowiedzialność za technikę fortepianową, to jakąż będzie dopiero ta odpowiedzialność, odnośnie do organu, gdzie palce przebiegają po kilku klawiaturach, gdzie nogi czynne są pospołu z rękami, mając pod sobą kilka oktaw klawiszów, nad niemi szereg połączeń rejestrowych, w okolicy zaś kolan kłapy do rozsuwania nazewnątrz, gdzie trzeba korzystać z każdej pauzy, wyzyskać każdą chwilę, aby operować z rejestrami, gdzie technika tak jest rzeczywiście skombinowana, że jakość tonu nie od uderzenia klawisza zawisła, lecz od rejestru. Owładnąwszy stroną techniczną, rozwinąć należy na tem tle bogatą stroną duchową wykonania, a cechować ją poza poprawnością powinna konieczność pomysłowości twórcza grającego, niema bowiem pono dwu organów, w których ilość rejestrów, połączenia ich i kombinacje nie byłyby zupełnie odmienne. Wirtuoz gry organowej musi więc być doskonałym technikiem, gruntownym muzykiem i pomysłowym kolorystą. P. Bossi wszystkim tym warunkom odpowiada najzupełniej. Trzeba było widzieć, z jakim wirtuozostwem panował nad pięknym organem Walkera w Filharmonii, jak niezwykłą posiadał biegłość w grze palcowej i pedałowej, jak bez niczyjej pomocy i z jaką szybkością sam radził sobie przy rejestrowaniu, trzeba było słyszeć jakim blaskiem i bogactwem barw mienił się instrument pod jego palcami. Może p. Bossi zanadto czasem ubiega się za efektami zewnętrzniemi, może często błyskotliwością popisów pozbawia organy ich właściwego charakteru—poważnego towarzysza obrzędów kościelnych, w każdym razie jednak produkuje jego są tak ciekawe, a w pełni estetyczne, iż życzyć należy, aby znakomity artysta częściej nadal odwiedzał miasto nasze.

Wieczór filharmoniczny, poświęcony twórczości Zygmunta Noskowskiego, dał nam poznać nowe dzieło symfoniczne naszego kompozytora. Utwór ten, p. t. „Z życia“, poświęcony pamięci Szopena, stanowi szereg fantazyjnych obrazów muzycznych, do których zarodkowego pierwiastku dostarczyło cudne Preludium A-dur tego mistrza. Obrazy te fantazyjne w pierwszej połowie utworu do numeru siódmego włącznie (wszystkich jest 15) utrzymane są w formie i rozmiarach wariacji w stylu swobodnym, począwszy zaś od № 8-go łączą się z sobą i snują nierozzerwalnie, tworząc całość organiczną w myśle wzniosłą, w kształtach doskonałą. Melodye w dziele Noskowskiego są płynne, szczerze, często pełne natchnienia, ujęte zaś w szaty przepysznych harmonii, świetnych porywów opracowania kontrapunktycznego i pierwszorzędnej, w całym znaczeniu tego słowa, instrumentacji.

Olbrzymią w treści i potężną w rozmiarach IX-tą Symfonią Beethovena zakończyła Filharmonia cykl „wielkich koncertów symfonicznych“ w pierwszym sezonie swego istnienia. Innego nawet wyboru dokonać nie mogła i godnie uwieńczyć cyklu koncertów „wielkich“, gdyż epokowy ten utwór jest nie tylko pod względem wymiaru, lecz i pod względem wartości jedną z największych, jeśli nie największą Symfonią. Arcydzieło to w pierwszych chwilach swego istnienia zapoznane i potępione, potem podziwiane, następnie zrozumiane i umiłowane, a w końcu uwielbiane i sławione, pojawiło się tym razem w całości. (Dotychczas z powodu braku chórów odpowiednio przygotowanych wykonywane były np. przez Windersteina tylko trzy

LISTKI.



Na rękę głowę przechyloną wspiera,
Ale boczkim, z ukradka na panny spoziera.

Pamiętajże sobie, wszystko to odmienne:
Łaska pańska, gust kobiet, pogody jesienne.

Grzechy młodości
Karze Bóg na stare kości.

Ona filozofka, choć i ty uczony,
Ale broń cię Boże, od podobnej żony.

Dołóż tylko śmiało więcej staranności,
A już w krótkim czasie doznasz pomyślności.

Masz uporu dosyć, lecz to nie zawadzi.
Gdy trafi swój na swego, to sobie poradzi.

Pomnij, że żona wtedy jest szczęśliwa,
Gdy dobry obiad u niej codzień bywa.

Jeśli nos długi rozsądek oznacza,
To dlatego rozsądny, że się w zupie macza.

W miłości zdradzony tak sobie poradził:
Miał wbić sztylet w serce, i w pochwę go wsadził.

Odłączony od ciebie, jak kwiatek usycha,
Im więcej go unikasz, tem on więcej wdycha.

Czemu chcesz przeznaczeniu bieg odwrotny nadać,
Wolisz męża majątkiem, niżli sercem władać.

Wystrzegaj się zawsze tej strasznej kolei,
By się nie zakochać i być bez nadziei.

Strzeż się zbytnej szczerości, aby nie obrzydła,
Abyś z niej tyle nie miał, co Zabłocki z mydła.

Nie zmyślaj miłości, gdy jej nie masz w duszy,
Bo udane westchnienie serca nie poruszy.

Żałować po niewczasie, jest to jedno właśnie,
Co patrzeć po niewczasie, kiedy słońce zgaśnie.



Kronika działalności kobiecej.



— Stowarzyszenie kobiet filologów w Anglii, (*Association of University women teachers*), które właśnie w b. m. odbyło swe roczne posiedzenie w Londynie, rachuje obecnie 1,000 członkiń. W ostatnim roku wstąpiło do stowarzyszenia 258 kobiet z niwersytetickimi naukowymi stopniami, poświęcających się nauczycielskiemu zawodowi.

— Panią Wiktorję Basczilde, młodą Rumunkę, poświęcającą się archeologicznym studjom, spotkało zaszczytne wyróżnienie; paryżka Sorbonna swoim kosztem wydrukowała wyczerpującą pracę pani Basczilde o historii Daków.

— Członkiem służby zdrowia w Dreźnie została panna Ida Nohr, jako piąty doktor chemii, należący do owej służby.

— Stowarzyszenie „*Board of Guardians*” w Londynie, wybrało Miss Lamport, jako specjalnego lekarza do szczepienia ospy w fabrycznej dzielnicy miasta. Obowiązkiem miss Lamport będzie nietylko samo szczepienie, lecz i nakłanianie robotniczej ludności do stosowania tego zapobiegawczego środka, ponieważ w Anglii przymusowe szczepienie ospy nie istnieje. Urząd lekarski Londynu ma nadzieję, że ko-

bieta skuteczniej wpływem swoim na ludność robotniczą oddziała, szczególnie zaś na matki, i które dotychczas z niedowierzaniem zachowują się w obec szczepienia dzieciom ospy.

— Kobiety pracujące samodzielnie w hrabstwach: Yorkshire i Cheshire, podały prośbę o dopuszczenie ich do wzięcia udziału przy wyborach w parlamencie.

— Początkowo w Austrii i na Węgrzech, obecnie i w Krocacji, kobiety dopuszczone zostały do praktyki aptekarskiej na tych samych warunkach, na jakich praktykują ich koledzy mężczyźni.

— Doktor Yamai Kin, pierwsza Chinka lekarz, praktykuje w San-Francisco.

— Od roku 1892-go powstało na Węgrzech 14 szkół handlowych dla dziewcząt, w których liczba wykładowych profesorów i nauczycielek wynosi przeszło 80-ąt. Pięć z pomiędzy owych szkół miasto Peszt odkupuje od utrzymujących je dyrektorów i nadto urządza szkołę przygotowawczą dla dziewcząt, nie posiadających kwalifikacji do uczęszczania na kursy handlowe.

— „Izby robotnicze” we Włoszech, po bardzo ożywionych agitacjach, do których należało 300 Stowarzyszeń, uzyskały prawną opiekę nad pracującymi kobietami i dziećmi, dotychczas aż nadto często wyzyskiwanych przez właścicieli fabryk, albo tak zwanych „brygadyerów” fabrycznych.

— Nowe prawa fabryczne w Danii zapewnijają kobietom, pracującym w zakładach fabrycznych, czterotygodniową zapomogę po przyjsciu na świat dziecka, lub na wypadek niemocy z powodu innej choroby. Prawa te kobiety zawdzięczają dobrze zorganizowanemu stowarzyszeniu robotnic, które gorliwie bronią praw i dobra stowarzyszonych.

— Stowarzyszenie rękodzielniczek w niższej Austrii poczyniło kroki do ministerium oświaty o pozwolenie założenia specjalnej szkoły rękodziel dla kobiet.

— Pani Adelina Bjarnason-Rittershaus, która ukończyła fakultet filologii w Uniwersytecie Zurychskim, została tamże docentem i wykłada język islandzki i jego literaturę.

— Rada opiekuńcza nad wyższymi zakładami naukowymi w Malmö, naznaczyła pannę Zofję Holgrem lekarzem przy tychże zakładach.

Z. S.

Treść numeru:

Słowno o pannach i do pań (kwestyonaryusz „Bluszczu”). — Na werendzie (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego. — Przysań, powieść współczesna, przez J. Terpilowską (ciąg dalszy). — Nad modrym Dunajem (z poematu «Sobieski pod Wiedniem»), przez Deotymę (ciąg dalszy). — Typy niewieście w literaturze XIX-go wieku: VI. Madame Bovary, przez Czesława Jankowskiego (ciąg dalszy). — „O byt i zdrowie pracowni warszawskich...” przez Wandę Grot-Bęczkowską (Korotyńską). — Ja i ona (wiersz), przez Wandę Krasuską. — Przegląd muzyczny, przez St. Dziadulewicza. — Listki. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Od Administracyi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz szósty powieści Matyldy Serao p. t.: «Siostra Joanna» i początek obrazka z życia robotników w cukrowni M. K. Szimaczka pod tyt.: „Karzelek.”

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 23). — Obiad na niedziele.

Od Administracyi.

Wszelkie zlecenia księgarskie naszych prenumeratorek Administracya „Bluszczu” załatwia bezinteresownie bez doliczenia komisowego.

pierwsze części, z opuszczeniem końcowej, w najwznioślejszy sposób ujawniającej pomysłowość twórczą, a zarazem będącej najoryginalniejszym objawem geniuszu Beethovena). Forma, wykończenie, nastrój w żadnym innym z dzieł wielkiego muzyka nie sprawiają może na słuchacza tak głębokiego wrażenia. Nie wdając się w domysły, czy rzeczywiście twórca zamierzył odmalować w tej symfonii „wyradzenie się radości z łona rozpacz”, czy też, jak twierdzą inni, chciał dać samego siebie i puścić swobodnie wodze swemu geniuszowi, pomijając zaś całkowicie wszystkie ogłaszane komentarze, a biorąc pod rozbiór muzykę tego arcydzieła samą w sobie, wyłącznie z technicznego punktu widzenia, przyznać trzeba szczerze, iż nigdzie, z wyjątkiem chyba Symfonii piątej, fantazyja, oraz mistrzostwo we władaniu tajnikami sztuki nie wzniosły się u Beethovena do tak olbrzymiej wysokości. Komponowana przed 80-iu laty blisko, Symfonia IX-ta nie zagusza nas hucznym brzmieniem, będącym właściwością szkoły późniejszej. Robota kontrapunktyczna jest w dziele tem tak prosta, pomimo swej obfitości, iż sprawia wrażenie, jakoby fantazyja autora igrała z zawilościami polifonii. Orkiestracja zawiera skarby olśniewającego bogactwa, wraz z ożywieniem rytmiki, świadczącym o niewyczerpanej sile żywotności u tego prawdziwego tytana sztuki. Co się tyczy wykonania z udziałem solistów opery oraz chóru, składającego się z sił śpiewających różnych instytucji, to, mimo pewne uchybienia w takcie, mimo pewien brak jednolitości niedostatecznie zespolonych czynników wykonawczych, co się dało trochę odczuć w Schillerowskiej odzie „Do radości”, stanowiącej część końcową (w tłumaczeniu redaktora naszego pisma, M. Gawalewicza), ogólnie biorąc, było ono bardzo dobre i świadczyło o dużej staranności i nakładzie pracy dyr. Młynarskiego. Wrażenie ogólne było bardzo podniosłe, i szczerze podziękowanie złożyć trzeba Dyrekcji Filharmonii za sam pomysł wystawienia arcydzieła i za pokonanie wszystkich, dość nawet znacznych trudności, w skojarzeniu tak olbrzymich czynników wokalnych i instrumentalnych (dwieście kilkadziesiąt osób w chórze, oraz stu członków w orkiestrze), jakie potrzebne były do wytworzenia odpowiednio silnego w wyrazie efektu muzycznego.

Na zakończenie kilka słów o nowościach muzycznych. Nakładem firmy Sennewalda wyszły: „Zaczarowana fontanna”, niezły „moreeau de salon” dla osób średnio zaawansowanych w grze fortepianowej, kompozycyi Hackh'a, oraz „Syn Puszy” Keler Bela, rzecz na skrzypce, w formie czardasza, melodyjna, efektowna i dość trudna. Z wydawnictw „Echa Muzycznego” pojawiły się: ładne Bolero na fortepian Galla i prześliczna „Stara piosenka” barona Kronenberga, która w wykonaniu pań Korolewiczówny (której jest dedykowana) i Bohussówny zyskała już w koncertach Filharmonii wielkie uznanie, zarówno dla oryginalności pomysłu, jak i dla melodyi płynnej, szczerzej i pięknego opracowania. Wreszcie, „Meloman” wydał siedem utworów. Z nich wyróżniają się: nastrojowa Ballada na jeden głos z towarzyszeniem wiolonczeli A. M. Bierackiego p. t. „Trzy pieśni”, śliczna „Melodia” Popera na skrzypce lub wiolonczelę, znana z mistrzowskiej interpretacji Wierzbilłowicza, elegancki mazurek Moszkowskiego, w wybornem opalcowaniu Michałowskiego i miluchny „Marsz narzeczonych” Castillona. W ogóle wydawnictwo to, nadające się doskonale do zastosowania w celach popularnej pedagogiki muzycznej, ze względu na ładny wybór nowości, oraz staranne, ładne i wygodne wydanie (każdy utwór drukuje się w oddzielnej okładce) zasługuje ze wszech miar na uwagę wszystkich interesujących się literaturą muzyczną doby ostatniej.

St. Dziadulewicz.



Główny Skład

ZAKŁADÓW ŻYRARDOWSKICH

Krakowskie-Przedmieście № 55 w Warszawie.

otrzymał na sezon wiosenny i letni:

Plócienna. — Kretony. — Batysty. — Satyny. — Dryliski
na ubrania męskie, dziecięce i liberyjne.

poleca również: *Gotową bieliznę damską i męską. — Pończochy. — Skarpety. — Płótna. — Stołową Bieliznę. — Ręczniki. — Chustki.*

Dywany. — Firanki. — Portjery.

GOTOWE WYPRAWY od 100 Rubli.

Po powrocie z Paryża **A. SUSKA** Zaopatrzyła magazyn mód w modele z pierwszorzędných domów oraz duży wybór kapeluszy na obecny sezon.

ulica **WIERZBOWA** № 6.

TYGODNIK

„Naokoło Świata“

W WARSZAWIE . . . rocznie rubli 4
Z przesyłką pocztową „ „ 5
Zagranicą „ „ 6

NUMERY OKAZOWE BEZPŁATNIE

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa ul. Ś-tej Barbary № 8.

Tygodnik NAOKOŁO ŚWIATA drukować będzie w półroczu bieżącym ozdobione licznymi ilustracyami oryginalne prace podróżnicze

D-ra FR. NEUGEBAUERA:

„Wspomnienia z wycieczki na Szpicberg i wybrzeża Norwegii”.

LEOPOLDA JANIKOWSKIEGO:

„Polska wyprawa do Afryki”.

Generała PAWŁA CHRZANOWSKIEGO:

„W POPRZEK AMERYKI”.

ZDZISŁAWA DĘBICKIEGO:

„Listy z nad Morza Białego i Oceanu Lodowatego”.



MAGAZYN MÓD

E. Loth

Saski Plac 5.

poleca w dużym wyborze

KAPELUSZE WIOSENNE

Ceny umiarkowane.

GRONKIEWICZ BIURO REKOMENDACYJNE

przeniesione: **Królewska № 5** przy Krakowskiem.
Telefon № 1758.

CIECHOCINEK
PENSYONAT „ZACHĘTA”
HELENY KUZAŁSKIEJ

przyjmuje pod opiekę na czas kuracyjny dzieci i młodzież obu płci. Kuchnia zdrowa i obfita. Pianino, gimnastyka, masaż, gry rozmaite na miejscu. Szczegóły za nadaniem marki. — Warszawa, Moniuszki № 9, od 15 Maja — Ciechocinek.

C. LESKI
Marszałkowska № 143, — I-sze piętro front.

ZAKŁAD KARBOWANIA
I PLISOWANIA FALBAN, SUKIEN
I KORONEK.

Karbowania fantazyjne, najnowszych deseni. Plisowania przeszło łokieć szerokie. Wycinanie przeróżnych ząbków maszyną. Wykonanie staranne i skore.

SKŁAD
PERFUMERYJNO-GALANTERYJNY
MARJI BOJDAKOWSKIEJ

Warszawa, Chmielna № 21.

Poleca znaczny wybór galanterii oraz perfumery fabryk krajowych i zagranicznych.

SPECYALNA FABRYKA FARTUCHÓW I HALEK

M. Raszkes i S-ka Muranowska
Nr. 14.



FOSFATYNA FALIERA.

Przyjemny pokarm, najodpowiedniejszy dla dzieci w wieku od 6-ciu miesięcy do 10 lat, zwłaszcza w czasie odłączania od piersi i w okresie rośnięcia. Ułatwia ząbkowanie i zapewnia prawidłowy rozwój kości.

Sprzedaż w Składach Aptecznych i Aptekach.

Magazyn Mebli oraz Zakład Tapicersko-Dekoracyjny

Ant. STRÓMIŁO

25. BRACKA 25.

Poleca całkowiłe urządzenia apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych. — Stolarska własna. — Ceny niskie.

W. Golińska

Gmach Teatralny

poleca

Nowości w zakresie galanterii
**BRONZY, ALBUMY,
NESESERY,
WACHLARZE, RĘKAWICZKI,
RAMKI.**

SZKOŁA KROJU

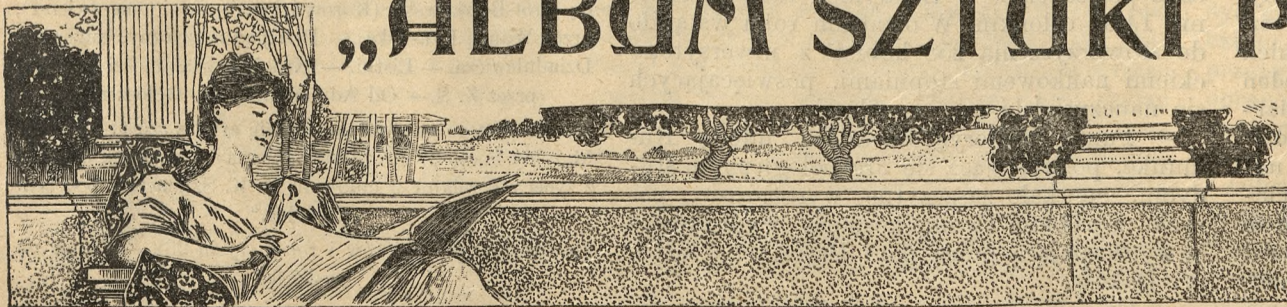
I. GRABSKIEJ

CHMIELNA № 49.

Metoda własna, dyplomowana w Paryżu, bez linijek i poprawek krajać można wprost z materiału. Patenty cechowe. 14



„ALBUM SZTUKI POLSKIEJ“



Cena rb. 12 w bogatej oprawie z brzegami złoceniem, z przesyłką pocztową rb. 13 k. 50.

zaliczone przez ogół prasy polskiej do najwspanialszych i cennych wydawnictw ostatniej doby. Wydanie luksusowe w dużym formacie, na angielskim kredowym papierze, ozdobione 250 rycinami znakomitych malarzy, z tekstem artysty-malarza H. Piątkowskiego.



Nabyć można w każdej księgarni. Zamawiający u Wydawców w kantorze drukarni PIOTRA LASKAUERA i S-ki w Warszawie, Ś-to Krzyzka № 11, kosztów przesyłki i opakowania nie ponoszą.



Do dzisiejszego numeru dołączamy dla prenumeratorów zagranicznych prospekt wydawnictwa zeszytowego Tygodnika „NAOKOŁO ŚWIATA”.